

Leszek Sokolowski



**NAWET MYSZ
MOŻE DOSTAĆ KOTA**

Leszek Sokołowski

**Nawet mysz
może dostać kota**

KRÓTKIE FORMY SATYRYCZNE

Międzyrzec Podlaski 2004

© Copyright by Leszek Sokołowski

Projekt graficzny okładki: Arkadiusz Sawczuk

Ilustracje: Roman Oleszczuk

Posłowie i redakcja: Ryszard Kornacki

Korekta: Krystyna Kornacka

Opracowanie techniczne: Roman Łaziuk

Wydawca:

Międzyrzeckie Stowarzyszenie Teatralne w Międzyrzecu Podlaskim
21-560 Międzyrzec Podlaski, ul. Warszawska 31a/11

Sponsorzy:

Maria i Krzysztof Jakubiukowie

ISBN 83-913897-8-2

Miejska Biblioteka Publiczna
Biała Podlaska



124983

821.162.1-3

XIII B.2

Skład: Agencja Wydawnicza „Pro Media”, Międzyrzec Podl. ul. Klonowa 6

Druk: Drukarnia „Intergraf” s.c., Międzyrzec Podl. ul. Warszawska 33

Wydanie I. Nakład: 450 + 50 egz. Oddano do składu w marcu 2004 r.

Druk ukończono w kwietniu 2004 r.

(...) „Wszak jakieś wyjście musi być – powiedział grzecznie Łotr”.

Bob Dylan z utworu
„Wokół wieży strażniczej”

Dedykuje synowi Igorowi

Przedmowa

Źródła inspiracji twórczej mogą być różne. Niektórzy twierdzą, że ich obfitość i wartość często określana jest statusem autora, który chętnie podejmuje tematykę współczesną przez opis świata rzeczywistego „tu i teraz”.

Podobnie rzecz się ma z twórczością Leszka Sokołowskiego – autora wcześniej już wydanego tomiku wierszy „Dumny jak paw”. W swoim debiutanckim zbiorze opowiadań, humoresek i próby powieściowej pod przewrotnym tytułem „Nawet mysz może dostać kota” pokazuje Czytelnikom bohaterów uczestniczących w przemianach cywilizacyjnych, ustrojowych, społecznych i obyczajowych w naszym kraju. Autor jest znakomitym obserwatorem życia, potrafi w bezkompromisowy i humorystyczny sposób sygnalizować i wytykać nasze błędy i wady; przy tym jest wspaniałym psychologiem przedstawiając typowe portrety np. nieudaczników. Naświetla też negatywne aspekty tego co dziś grozi nam prawie na każdym kroku: nadmierną komercjalizację, arogancję nowej klasy urzędniczej i politycznej. Poznając treść kolejnych humoresek i opowiadań uzyskujemy poza czysto rozrywkowymi duże wartości moralno-dydaktyczne. Równie ciekawą jest pomieszczona w tym zbiorze próba powieściowa pt. „Świadek wiary”. Jest to już solidny materiał na dobrą powieść pokazującą ciągle jeszcze aktualne wydarzenia w aspekcie historycznym.

Całość zbioru Leszka Sokołowskiego prezentuje się okazale. Dobra narracja, błyskotliwe dialogi oraz zaskakujące i zabawne puenty, spora doza humoru, komizmu, ironii i groteski zapewnią książce poczytność. Znajdziemy w niej również echa mistrzów takich jak A. Czechow, J. Hašek, S. Mrożek i S. Wiechecki (Wiech).

Przedstawione powyżej rozważania nie są listem rekomendacyjnym, bowiem nie lubi wystawiania cenzurek. rzecz to niewdzięczna i w tym przypadku raczej zbędna. I tak najwięcej do powiedzenia będą mieli Czytelnicy. Zachęcam więc do lektury.

R. Kornacki

Spis treści

POD WIEJSKIM SKLEPEM	7
CZAS ZWIERZĄT	9
SIEDEM DNI TYGODNIA	11
NAWET MYSZ MOŻE DOSTAĆ KOTA	15
PARAMNEZJA	17
BYKOWE	19
POKUTNICY	21
WCZASY POD GRUSZĄ	23
POD SPECJALNYM NADZOREM	25
TEATR WIDZĘ OGROMNY	28
KTO BYŁ PIERWSZY?	30
ZAPACH JAŚMINU	33
ARSEN LUPIN KONTRA KONFITURY	38
Z ARCHIWUM X	41
ROBIN HOOD	44
MŁOTEK	47
ZERWANE WIĘZI	51
TRANSFORMACJA	53
LIST OTWARTY	55
ŚMIERĆ DOBRANOCKOM	57
ZBYT DŁUGA ZIMA	59
ANATOMIA SUKCESU	82
REFORMA	92
WHO IS WHO?	95
SPOTKANIE III STOPNIA	97
ŚWIADECTWO WIARY	99

POD WIEJSKIM SKLEPEM

Faktograficzny opis wydarzeń

Blady świt. Sklepowa kończy dojenie i otwiera sklep. Byk dostaje wytrzeszczu. Krowa też.

- 6.00 Zajeżdża traktorem Zbynio. Kupuje dwa wina i krakersy dla dzieci.
- 6.10 Sklepowa odświeża towar. Datownik odświeża do czerwoności.
- 7.00 Pod sklepem parkuje konny zaprzęg gajowego. Koń prowadzi. Gajowy śpi na koźle. Całą noc zakładał wnyki w lesie. Koń gajowego się nudzi.
- 8.00 Sklepowa podejmuje listonosza.
- 9.00 Listonosz wychodzi bez czapki i torby na listy. Gramoli się na wóz gajowego i zasypia.
- 9.30 Budzi się gajowy. Wypija w sklepie dwa wina i odjeżdża z listonoszem w stronę lasu. Koń się cieszy – to dobra, przedwojenna szkapka.
- 10.00 Drugie śniadanie. Sklepowa zjada trzy puszki skumbrii w oleju i popija pepsi. Zdrowa baba.
- 11.00 Przez wieś ucieka rachmistrz od spisu ludności i inwentarza. Gonia go: ruda Ziuta, sołtys i były kościelny. Rachmistrz błaga sklepową o azyl. Sklepowa odmawia. Rachmistrz bije rekord świata na sto metrów, dopada lasu i tam kryje się w zaroślach.
- 11.30 Z lasu wraca listonosz. Ma podbite oko i podarty mundur. Musiał spotkać partyzantów Teppera. Sklepowa podejmuje go na zapleczu. Samo południe. Sklepowa otwiera przed listonoszem serce, butelkę wina i kredyt. Listonosz ogłasza zaręczyny i stawia wszystkim kolejkę. Błąd. Sklepowa natychmiast cofa kredyt i zrywa zaręczyny. Listonosz traci płynność finansową.

- 13.00 Do wsi wraca gajowy. Partyzanci wygonili go z lasu. Konia pomalowali mu na niebiesko co by kolor współgrał z jego fioletowym nosem. Koń się nie przejmuję.
- 13.30 Sołtys i były kościelny tracą płynność finansową.
- 14.00 Do wsi wjeżdża Dzielnicowy. Ma nową damkę z klaksonem.
Z oczu źle mu patrzy! Ziuta chowa się w stogu siana.
- 14.30 Dzielnicowy pokazuje chłopom. Chłopi szukają Ziuty.
W ogólnym zamieszaniu ginie damka Dzielnicowego.
- 15.00 Ziuta przedziera się do lasu i wstępuje do partyzantki.
- 16.00 Po siódmym piwie koń zwierza się gajowemu, że donosi Tepperowi. Gajowy proponuje koniowi rolę podwójnego agenta. Koń się godzi. Teraz to koń trojański!
- 17.00 Sklepowa zamyka sklep i otwiera nocny market.
- 20.00 Dzielnicowy pijany jak bela pokazuje babom. Baby szukają Ziuty.
- 21.00 Wszyscy tracą płynność finansową – łącznie ze sklepową.
- 05.00 Piękny poranek. Gęste zarośla. Tepper pokazuje Ziucie.
Ziuta pokazuje Tepperowi. Teraz Tepper ma dowody!
- 06.00 Rachmistrz wraca damką Dzielnicowego do domu.

P.S. Dwa tygodnie później „leśnych” dziesiątkuje tajemniczy wirus. Oddział przestaje istnieć. Kto mieczem wojuje od wirusa może zginąć.

luty 2002

Tekst nagrodzony tytułem „Króla Łgarzy” Bogatynia 2002

CZAS ZWIERZĄT

– Jesteśmy w kropce! – stwierdził krótko koń, który niczego nie lubił powtarzać dwa razy.

– Jesteśmy w kropce! – powtórzył złośliwie – Mówiąc wprost: tkwimy po ośle uszy w gównie!

– Wypraszam sobie! – doleciało z końca obory.

– Po uszy w gównie – poprawił się koń – niekoniecznie ośle.

– Wypraszam sobie!

Koń zajął się owsem. W oborze zaległa przygnębiająca cisza.

Prosiak chciał coś powiedzieć. Natężył szare komórki aż wyskoczyła mu sina pręga na tylnej szynce. Pręga zmieniła kilka razy kolor i znikła – myśl także.

Krowa żuła obojętnie siano. Byk w ponurym nastroju, kompletnie rozstrojony z odrazą gapił się na krowę. „Jeśli podłapałem BSE, to szmatę zatłukę” obiecywał sobie w duchu.

Nawet myszy zaniechały harców. Zresztą dla kogo? I po co? Ostatni kot zdychał z głodu i zimna uczepiony rozpaczliwie rynny. To efekt marcowych popisów na oblodzonym dachu. Leżały zatem w nieznośnym lenistwie na worach ze zbożem wpatrując się bezmyślnie w sufit.

– Może coś zaśpiewamy? – zaproponował koziołek przerywając ciszę.

Byk pomyślał o requiem, krowa o Mansonie, a reszta zwierząt: kiedy ukatrupią kozła?

– Idiota! – skarcił koziołka koń – W takiej chwili? Idiota!

– Wypraszam sobie! – doleciało z końca obory.

– W takiej chwili? – powtórzył koń, chociaż wiadomo było, że nie lubił niczego dwa razy powtarzać – O czym tu śpiewać?

Koziołek nie bardzo wiedział, ale zaperzył się i wypalił:

– A chociażby „Lewy do Prawego”!

– Koń by się uśmieł – wymknęło się koniowi.
– A dlaczego nie „Prawy do Lewego”? – zapytał z przekąsem baran.

– Wypraszam sobie! – doleciało z końca obory – Obydwie wersje!

Prosiaczkowi nagle zrobiło się smutno. Nie lubił kłótni. Ze łzami w ślepkach chrząknął cichutko nad pełnym korytkiem. „Nie będę się tuczył – postanowił twardo, gdyż czuł, że musi coś postanowić – ale jak nie będę się tuczył – kombinował – to nie urosnę”. Na tylnej szynce znów wyskoczyła mu sina pręga. „A jak nie urosnę – myślał intensywnie – to nigdy nie zobaczę nieba”. Ucieszył się, że nie opłaca się mu głodować. Teraz to i on miał ochotę pośpiewać, ale później, po kolacji. Czas zwierząt się skończył. Do obory wszedł Gospodarz. Wyglądał na bardzo zdeterminowanego. Koń chciał to wyrazić, ale przestraszył się, że nie wymówi tego słowa. Gospodarz w lewym rękę trzymał bat, a w prawym kostkę cukru.

– Macie swoje lewe do prawego – mruknął byk.

– No i jak? – zapytał grzecznie Gospodarz.

Niby grzecznie, ale zwierzęta wyczuły w jego głosie dużą dozę chamstwa.

– Wypraszam sobie – doleciało z końca obory.

Koń zerkając z ukosa na bat uznał za stosowne zabrać głos.

– Po burzliwej naradzie – kłamał z przekonaniem – jednogłośnie uchwaliliśmy nie używać brzydkich wyrazów /tu zrobił pauzę na cukier/ oraz, że mówić będziemy tylko w Wigilię i Prima Aprilis. „Ani razu się nie powtórzyłem” – zdziwił się koń.

Gospodarz poklepał go po pysku i wyszedł.

– Wypierdalaj! – poleciało za nim z końca obory.

W tym momencie do obory wpadł kot uratowany przez straż pożarną, a tuż za nim stuletnia babka z rozwianym włosom, w samej bieliźnie, ale za to z jakim wielkim sierpem w dłoni.

Tekst nagrodzony III miejsce na Turnieju Łgarzy 2001

SIEDEM DNI TYGODNIA

Poniedziałek

Godzina 8.00 – Przesłuchanie obywatela Misiaka w prokuraturze rejonowej. Obywatel Misiak odmawia składania zeznań. Na podchwytliwe pytanie prokuratora: a dlaczego draniu sprzeniewierzyłeś miliard złotych? powołuje się na piątą poprawkę do Konstytucji. Prokurator wpada w konsternację. Nic mu nie wiadomo o piątej poprawce. Dzwoni do Ministra.

Minister jest na rybach i w danej chwili walczy z ogromnym szczupakiem. Szlag trafia pana Ministra, bo telefon komórkowy uporczywie terkocze mu w kieszeni, a szczupak przeszedł do kontr-ofensywy i usiłuje wciągnąć go do wody. Misiak uśmiecha się drwiąco pod nosem, jakby widział całe zdarzenie. Misiak to wytrawny gracz. Prokurator to widzi, czuje i wie. Minister w końcu odbiera telefon. Jest bardzo nieuprzejmy, wręcz arogancki. Szczupak umknął mu w szuwały wraz ze spinningiem wartości rocznej pensji prokuratora, o czym ten natychmiast się dowiaduje (o cofniętej premii też).

Prokurator dowiaduje się również, że brakuje mu piątej kleпки. Minister pyta, a raczej wrzeszczy: jaka kreatura powołuje się na piątą klepkę, tfu, piątą poprawkę!?

Prokurator odpowiada: Misiak Jan, lat 52. Minister wyraźnie zaintrygowany dopytuje się, czy to przypadkiem nie jest Misiak Janek, który w 72 ukończył zaocznie technikum budowlane w Toruniu?

Prokurator odpytuje Misiaka i potwierdza. Misiak uczęszczał na tę uczelnię, ale jej nie ukończył przez Mizere od matematyki. Minister cieszy się jak dziecko. To skurczybyk – woła radośnie – na mnie też się zawział! Jak poszedłem do rządu to zwał na Azory.

„To w Afryce” – domyśla się na głos prokurator. „W Azji, nieuku, analfabeto” poprawia go Minister i sugeruje, że osobiście przesłucha Misiaka na swoim jachcie.

Późne popołudnie. Prokuratorowi chodzą po głowie praworządne myśli. Do tego stopnia, że łyka raz po raz to, co Goździkowa bierze, kiedy przesoli mężowi zupę.

Prokurator ma już plan. Dzwoni do zaprzyjaźnionego dziennikarza bardzo poczytnej gazety.

Wtorek

Dziennikarz Jerzyk z wypiekami na twarzy pisze ostry artykuł, w którym ujawnia i potępia decyzję Ministra. Jerzyk na marginesie nadmienia, że Misiak z Ministrem znają się jeszcze z poprawczaka. Tymczasem Misiak współ z Ministrem wędkują pod czujnym okiem służb specjalnych.

Środa

Jerzyk dostaje worek anonimów z pogrózkami i ginie mu spod domu 10-cio letni Fiat 126p. W samo południe dwie brygady antyterrorystyczne zajeżdżają pod jego dom, zakuwają w kajdany i transportują pod bronią przed oblicze sądu. Mieszkanie ma do kapitalnego i przerabane do u sąsiadów. Sąd stawia mu 70 zarzutów złamania prawa.

Konkurencyjna gazeta nie zostawia na Jerzyku suchej nitki, dodając mimochodem, że Jerzyk w 77-tym roku, będąc pod wpływem alkoholu, rozebrał się do naga na dancingu w restauracji „Kolorowa” i nasikał do fontanny przez spodnie.

Tymczasem dwaj przyjaciele z toruńskiej uczelni dopadają ogromnego szczupaka zużywają trzy granaty i odzyskują spinning. Bestia na szczęście nie zdążyła go zeżreć.

Czwartek

Zdesperowany Jerzyk pisze sprostowanie do gazety i publicznie przeprosza Ministra w telewizji i radiu. Redaktor naczelny przenosi go dożywotnio do działu drobnych ogłoszeń na etat gońca. Żona krzywdzi go rurką od odkurzacza, a od sąsiada dostaje po mordzie.

Prokurator dostaje spazmów. Listonosz doręcza mu paczkę, w której spoczywają zwłoki śniętego szczupaka. Prokurator oglądał „Ojca Chrzestnego” i zaczyna się gorączkowo pakować. Udaje się na międzynarodowe lotnisko. Jedzie tramwajem, potem autobusem, znowu tramwajem, a następnie taksówką. W ten znany sposób chce zgubić ewentualny ogon. Oczywiście jest w przebraniu i udaje głuchoniemego. Tę zdolność ma opanowaną do perfekcji. Rutyniarz.

Piątek

Świetne prognozy meteorologiczne na sobotę i niedzielę. Prokurator myli samoloty i ląduje omyłkowo w Mongolii.

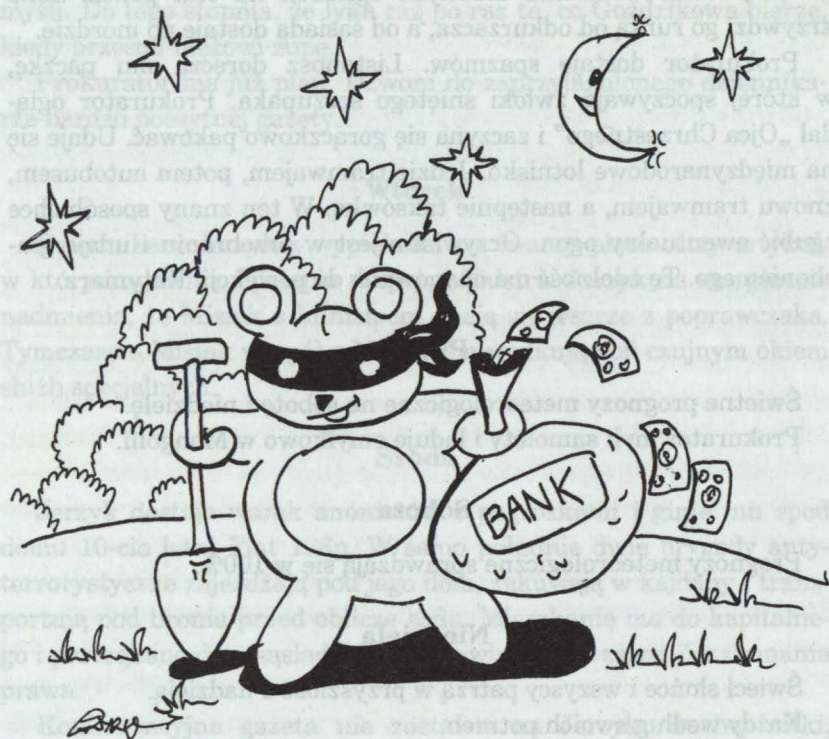
Sobota

Prognozy meteorologiczne sprawdzają się w 100%.

Niedziela

Świeci słońce i wszyscy patrzą w przyszłość z nadzieją. Każdy według swoich potrzeb.

lipiec 2003



NAWET MYSZ MOŻE DOSTAĆ KOTA

Al ukrył się w małej nadmorskiej miejscowości. Zgolił brodę i wasy. Przefarbował kruczoczarne włosy na jasny orzech i czekał na jacht. Spacerując po plaży poznał ładną, bez kompleksów i uprzedzeń, inteligentną i bystrą dziewczynę. Zakochała się w Alu od pierwszego spojrzenia na jego złotą biżuterię. Uczucie jej pogłębiło się gdy pod materacem odkryła pokaźną ilość banknotów studolarywowych.

– Co to? – zapytała niewinnie, gdy Al nakrył ją na pakowaniu pieniędzy.

– To spadek – mrugnął do niej pociągając ją na tapczanik.

– Och ty w mordę – pomyślała tylko i już wiedziała, że to miłość.

Ledwo opadli na tapczanik, ledwo Al zdążył zapleść swoje silne dłonie na jej szyi, do pokoju wpadło razem z drzwiami dwóch potężnych mężczyzn. Trzeci wskoczył przez zamknięte okno, a czwarty... czwarty utkwiał w kominie i darł się jak opętany.

Ałowi założono kajdanki.

– Cezar, Robin Hood i Otello – odezwał się jeden z komandosów kiwając z politowaniem głową – też wpadli przez kobiety.

– Robin Hood nie w każdej wersji – zaprotestował z kominą kolega.

– Koniec tej literatury – zakomenderował piąty agent gramoląc się spod łóżka – A panią – tu zwrócił się do nieszczęśliwie zakochaanej – A panią – powtórzył szurając nóżkami i szarmancko cmokając w odkrytą pierś – poproszę o telefonik.

– To nie ten – stwierdził komendant, gdy postawiono przed nim Alą.

Przyglądał się zdjęciu z listu gończego i mocno dziwił się jak komandosi mogli się tak pomylić.

– Tamten ma brodę i wąsy i jest czarny jak diabeł – żalił się do sierżanta – a ten nijak nie pasuje do opisu, chyba że wzrostem.

Pod Alem ugięły się kolana.

– Ma pan rację, szefie – zgodził się sierżant przyglądając się fotografii – trzeba gościa przeprosić i wypuścić. Jak tamten jest czarny to musiał do zdjęcia się wybielić, czy coś koło tego, ale ten jest jednakże biały i nie może być naturalnym murzynem bo nie jest czarny. Po nocy biały wydał im się czarny, chociaż w nocy czarny i tak się nie pomyli jeśli jest urodzonym murzynem z matki i ojca białego. Taka jest moja teoria – sierżant był trzeźwy.

Komendanta nagle rozbolała głowa. Zanim przyjechała karetka rozbił na głowie sierżanta wazon i porządnie zdemolował dyżurkę. Kiedy sanitariusze wywlekali go na zewnątrz ryczał na całe gardło:

– Wybieleń was wszystkich, a potem wysmożę!!!

Sierżant uśmiechając się głupkowato, zasalutował Alowi i wskoczył za komendantem do karetki. Znał swoje obowiązki: jego miejsce było przy dowódcy.

– A ty coś za jeden? – zapytał Ala gruby lekarz.

– To ja zjadłem Hitlerowi budyń – wyszeptał Al.

Lekarz pogroził mu palcem i wsiadł do karetki. „To oszust – myślał w drodze – chciał mnie nabrać, to nie on tylko Borman i nie budyń tylko kisiel”.

Sierżant po wyjściu ze szpitala ukrywał się w opuszczonych magazynach GS-u. Komendant dzięki kuracji wrócił po roku do służby i dalej ścigał przestępców. O Alu słuch zagał. Podobno widziano go w Brazylii, ale któż to może wiedzieć na pewno? Chyba tylko ten, co zjadł Hitlerowi budyń albo kisiel.

styczeń 2002

PARAMNEZJA

Zadzwoniłem do biura zleceń z reklamacją.

– Niech pan reklamuje u Zegarynki – poradzono mi – my też przez nią zaspaliśmy.

– Ukradli mi wczoraj zegarek – tłumaczyła się Zegarynka – albo zgubiłam.

Milczałem niegrzecznie.

– A co się stało? – zapytała ziewając.

– To już trzeci raz w tym tygodniu gubi pani zegarek.

– Albo kradną – odezwała się nadąsana.

– Notorycznie spóźniam się przez panią do pracy!

– Albo przez złodziei – twardo odparła Zegarynka.

– To ja kupię pani budzik!

– Właśnie – ucieszyła się – niech pan kupi sobie budzik!

– Dobra myśl – odezwał się pies.

Wjechał do pokoju na wrotkach wprost spod prysznica.

– Wyborna – poparła go kotka.

Siedziała w fotelu z poranną gazetą w łapkach popijając z kartonu beztłuszczowe mleko. Szybko się ubrałem i wyszedłem z mieszkania. Zwierzaki nie będą mi dyktować w jaki sposób mam się budzić!

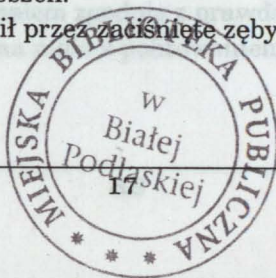
Na schodach pozdrowiło mnie dwoje skinów z drugiego piętra i ich małe, dziewczynka albo chłopczyk. Zostałem przez małe ukąszony w nogę, a tatuś zabrał mi kapelusz.

– To już czwarty – zaznaczyłem bohatersko i uciekłem.

W bramie zatrzymał mnie gospodarz domu i wypisał mandat za zbieganie ze schodów.

– Jeszcze raz to skieruję sprawę do kolegium – zagroził i zaciągnął mnie pod tablicę ogłoszeń.

– Patrz pan – wycedził przez zaciśnięte zęby – następnego zdemaskowali!



- Składka na nową miotłę 50 złotych od łebka - przeczytałem głośno.

- Nie to! - zdenerwował się - Patrz pan wyżej!

- Konik garbusek do wielbłąd - odczytałem.

Gospodarz domu wyjął z kieszeni spray i napisał obok: „Spadaj na Saharę oszuście!”

Skasował mnie na 100 złotych wspaniałomyślnie licząc psa i kota jako jednego „łebka”.

Z zamyślenia wyrwał mnie gwizd lokomotywy. „Inter City” - pomyślałem z tęsknotą i udałem się na przystanek tramwajowy. W tramwaju dwóch kontrolerów przebranych za Świętych Mikołajów dopadło małego kudłatego gościa. Otoczyli go wzorowo i wzięli na spytki. Gówniarz powtarzał w kółko: „go home, go home”, aż pewna starsza pani nie wytrzymała i przejechała go laską po grzbiecie, żeby przestał się jękać. Mały kudłacz zniknął jakby babcina laska była czarodziejską różdżką.

- Trudno, bierzemy tego - starsza pani wskazała na mnie.

Okazało się, że współpracuje z Mikołajami. Wywlekli mnie z tramwaju i zaprowadzili pod drzwi ogromnego piaskowego gmachu. Fasadę budynku zdobił fascynujących rozmiarów napis wryty w murze: „Józefowi K. - Oddany Personel”. Niestety budynek był zamknięty. Na mosiężnej klamce wisiała kartka.

- Jesteśmy zawsze z Tobą - przeczytała na głos starsza pani i ze złości przeciągnęła mnie laską po plecach. Nie zniknąłem.

- Tam jest!! - wrzasnęła do swoich Mikołajów i pomknęli żwawym kłusem.

Spojrzałem za nimi, w budce telefonicznej barykadował się mały kudłaty gość z tramwaju. Wróciłem do domu. Pies pytał z uporem maniaaka, czy kupiłem już budzik, a kotka pitrasila mysz na słodko w sosie własnym.

luty 1999

BYKOWE

Wezwanie do urzędu doręczył mi dzielnicowy.

– Lepiej pan idź dobrowolnie – doradził mi życzliwie.

Tak też zrobiłem. Ubrałem się w stare łachy i stanąłem przed obliczem urzędnika.

– Nie płaci pan podatków w terminie – odezwał się surowo na dzień dobry – Mógłbym to zgłosić na policję – postraszył mnie.

– To nie moja wina, że urodziłem się w tym kraju – odezwałem się głupio.

– Będzie miał pan kłopoty – ucieszył się i zająrzył do oprawionej w skórę wielkiej księgi. To nie była zwierzęca skóra.

– Przepisy mówią inaczej – zawołał i zamknął księgę z hukiem.

– To niesprawiedliwe – uparłem się jak osioł – i nieludzkie.

Urzędnik zrobił obrażoną minę i napuszył się. Postanowiłem zmienić taktykę i trafić do jego duszy bo serca nie miał na pewno.

– Budzę się każdego ranka – jęczałem – i nie chce mi się wstawać.

– Wstrętny leń – wtrącił urzędnik.

– Mam wrażenie, że życie przecieka mi między palcami, że stoję w miejscu, a to znaczy, że się cofam zamiast iść do przodu.

– A po co? – mruknął mrużąc mściwie oczy.

– Tracę dzień za dniem – mówiłem dalej – chociaż to szare i smutne dni, a inni zabierają mi moje stracone godziny i minuty i budują na nich...

– Jacy inni? – przerwał mi urzędnik z dzikim błyskiem w oczach – Co budują?

Rozłożyłem bezradnie ręce.

– Niech pan się nie boi, niech pan poda mi ich nazwiska – nalegał.

– Nie potrafię – wyznałem zgodnie z prawdą.

Urzędnik popatrzył na mnie z politowaniem.

– A już, już widziałem w panu człowieka – odezwał się z pogardą.

Wyjął ogromny dziurkacz i bawił się nim ostentacyjnie kalecząc papiery leżące przed nim na biurku. W końcu podał mi moją teczkę.

– Do kasy na parterze – poinstruował sucho – dołączyłem fakturę za dzisiejszą konsultację, nie myśli pan chyba, że prowadzę tu działalność charytatywną dla oszustów podatkowych?

– Nie myślę – przyznałem potulnie.

Przeglądałem wręczone mi rachunki i włosy zjeżyły mi się na głowie.

– Ja nie mam samochodu – jęknąłem – To jakaś potworna pomyłka! Mam zapłacić winietę za pięć lat z góry, kiedy nie jeżdżę samochodem?

– Ale chodzi pan po ulicach, zdziera pan nawierzchnię? – zdenerwował się urzędnik – A jak kupi pan sobie auto jutro? Znamy was!

– Za co?! – zawyłem jak ranny zwierz – Za co? Płacę klimatyczne, chociaż mieszkam przy hucie, płacę dochodowy, statystyczny i obywatelskie, vat od vat i od tego akcyzę. Nie stać mnie nawet na założenie rodziny!

Urzędnik aż podskoczył na krześle.

– Jest pan kawalerem? – zawołał radośnie – To leżysz pan i kwiczysz! Będzie grzywna i odsetki! Lepiej okraść bank z bronią w rękę niż uchylać się od bykowego!

Nie napadłem na bank. Na szczęście obudził mnie natarczywy dzwonek do drzwi. To była moja narzeczona. Od razu, w samych drzwiach poprosiłem ją o rękę. Oświadczyły zostały przyjęte. Ślub jutro.

luty 2001

POKUTNICY

Słońce przebiło się przez brunatne chmury i zajrzało przez śnieżnobiałe firany do celi numer 7 o zaostrozonym rygorze. Ciepłe promienie otuliły wystające spod kocyków głowy więźniów, którzy regulaminowo leżakowali po obiedzie. Kuchnia dziś serwowała: zupę-krem z karczochów, kotlet de szarże affe i ostrygi z bezami o „sole mio”.

Słońce postanowiło więcej tam nie zaglądać i schowało się za chmury.

– O matko i córko! – krzyknął przez sen były skarbnik, byłej partii, aż jego osobisty kanarek dał ze strachu w trociny.

Śniło mu się, że prokurator nie przyjął darowizny i znalazł ukryte pod podłogą pieniądze. Koszmar spowodował niekontrolowane zatrucie powietrza wielokrotnie przekraczające unijne normy. Kanarek rozbił sobie łepkę o kratę i zagwizdał jak kos.

Tymczasem obudził się drugi więzień, były wójt. Wpadł na pomysł sprzedania gminy Anglikom. Inwentarz czyli mieszkańców oddał kupcom w dzierżawę na sto lat. W sądzie tłumaczył, że jeśli Hongkong na tym skorzystał to dlaczego jego Sadowo Górne ma być gorsze? Hollywood kręciło o nim film, komedię fantasy. Harry Potter i Władca Pierścieni niech się schowają na półki. Były wójt westchnął ciężko i sięgnął do szafki po szkocką.

Trzeci nieszczęśnik, księgowy mafii cierpiał na schizofrenię, dwupłatową pomroczność trzeciego stopnia i bezsenność. Teraz trzymał swój zafrasowany łeb pod wielbłądzim kocem i wysilał mózgownicę. Od trzech miesięcy, za cholerę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie przetransferował swoje kieszonkowe milion dolarów.

Czwarty ananas drzemał w kącie celi na twardym zydłu, który mógł pamiętać czasy carskich spiskowców. Więzień sumienia, poli-

tyczny z krwi i kości. Za leniwy by pracować, za nerwowy by kraść. Więzienny psychiatra często wzywał go do swojego gabinetu jako przypadek szczególny. W ciągu swojej kilkuletniej praktyki zawodowej widział wielu zdrowych na umyśle idiotów, ale takiego egzemplarza jeszcze nie miał. Lekarz pisał pracę naukową na temat: „Zwyrodniały idiotyzm w służbie publicznej” i bardzo cieszył się, że ma u siebie takiego pacjenta.

Więzień uśmiechał się przez sen. Śniło mu się, że stoi przed plutonem egzekucyjnym i bohatersko ubliża swoim politycznym wrogom, a jedna z posłanek rzuca mu pod nogi bukiet róż i rozbiera się z rozpaczy do naga, błagając go by żył dla kraju i dla niej. Klubowy kolega krzyczy, by rozstrzelali jego zamiast największego polityka wszechczasów i tak się staje. Uratowany przez kolegę skazaniec tuli do piersi nagą posłankę, by po chwili używać sobie z nią do woli na łóżku z baldachimem.

Zbliżał się czas nocnej ciszy. Pustoszały pola golfowe, bilardowe sale i brydżowe kluby. W całym więzieniu gasły powoli światła, a nastrojowa muzyka Mozarta koła zmysły.

Na dobranoc znany reformator sejmowy czytał bajkę „O dwóch takich co ukradli księżyc”. Czytał z takim zaangażowaniem, że więźniowie uwierzyli, że księżyc już nie ma, a policja nigdy go nie odnajdzie. Nawet naczelnik zerknął z niepokojem w okno czy aby jeszcze świeci. Świecił, świecił, tylko bajka miała inne zakończenie. Dobranoc.

grudzień 2001

WCZASY POD GRUSZĄ

Konflikt między gospodarzem a gośćmi lipcowego turnusu dotyczył muzyki. Był piękny czas żniw i nie wiadomo czemu właściciel pięknie położonego nad jeziorem gospodarstwa agroturystycznego popadł w melancholię. Od rana do późnego wieczora skazywał swoich gości na słuchanie jednej i tej samej piosenki, o znanym na całym świecie refrenie: „Góralu, czy ci nie żal?”

– Czego mu tak żal? – dziwiła się turystka, z zawodu lekarz psycholog – Nie musi przecież ciężko harować w polu, zamiast żyta rośnie mu w tym miejscu uroczy zagajnik sosnowy i jeszcze bierze za to pieniądze. Dlaczego katuje nas tą piosenką? Trzeba zaprotestować, zrobić jakąś blokadę czy coś w tym rodzaju, bo inaczej zwariuję od tej muzyki!

Trzech studentów socjologii wyjaśniło lekarce, że blokadę to ma ona, szczególnie po wieczorku zapoznawczym i poradziło jej iść do lasu na jagody.

– To celowa robota – stwierdził emerytowany urzędnik celny – w życiu tak nie chlałem wódki. Ta piosenka tak mnie nastraja, że żłopię tę jego okowitę od samego rana. Dzwoniłem już do domu po pieniądze, a jestem dopiero od tygodnia.

– Melodia i słowa są bardzo smutne – zgodził się wczasowicz, który był handlowcem.

Od strony ekonomicznej ex celnik miał rację. W ciągu kilku ostatnich dni obroty w barze wzrosły pięciokrotnie. Okowita sprzedawała się najlepiej.

Panowie wypili zgodnie po kieliszku. Siedzieli na tarasie smętnie gapiąc się na jezioro.

– A ja tam nie lubię upijać się na smutno – wtrąciła pani Jadzia, kucharko-barmanka usługująca wczasowiczom.

Ex celnik z handlowcem pili przez jakiś czas w milczeniu z rozrzwiniem słuchając niekończącej się piosenki.

– Tak, proszę pana, dla chleba ludzie wędrowali po świecie, dla chleba – westchnął ciężko były celnik.

– Pewnie, pewnie i pan teraz litujesz się nad nimi, co? – odezwał się łysy gość siedzący za nimi – Przez takich patriotów jak pan straciłem wszystkie włosy.

– Zawsze było mi żal emigrantów – zawołał ex celnik – ale przemytników nigdy!

– Panowie, panowie – uspokajał ich handlowiec – co ma legalny czy nielegalny import czy eksport do rzeczy? Przestańcie się kłócić! To wszystko przez tę piosenkę! On chyba chce żebyśmy się pozabijali. Miałem pójść na grzyby i nie poszedłem bo piję od świtu. Trzeba coś postanowić. Pani Jadziu, pani poda jeszcze jedną butelkę.

Nagle melodia urwała się i zapanowała cisza.

– Pani Jadziu, co się stało? – zapytał szeptem ex celnik.

– Pewno żniwa się skończyły.

– I co teraz będzie? – ze strachem zapytała pani psycholog.

– Wykopki – wzruszyła ramionami pani Jadzia.

– Nie o to pytam – zniecierpliwiła się lekarka – czy nie będzie już puszczał tej katorżniczej piosenki?

– Tej już nie, dopiero za rok, na przyszłe żniwa. Teraz nastawi inną płytę.

– Jaką?! – zawołali z przerażeniem wczasowicze.

– „Chłop żywemu nie przepuści” – odparła poważnie pani Jadzia – Podać coś do picia?

maj 2003

POD SPECJALNYM NADZOREM

Ekspres do Paryża przeleciał niczym błyskawica przez stację Misie Małe w gminie Gąski. Zawiadowca Emil siedział w służbowej wygodce przeglądając ostatni numer „Dzielnego Kolejarza”. Spojrzał na zegarek i zadrżał ze zgrozy! Dziesięć minut wcześniej za karton piwa podniósł semafor dla towarowego z Gąsek, a ten niechybnie zdarzy się z ekspresem pod Starą Wsią!

Biegiem z gaciami w rękę wpadł do dyspozytorni. Rozejrzał się i wybrał miejsce pod szafą gdzie leżał dywanik i umiejętnie stracił przytomność.

Punktualnie o 6.00 w dyspozytorni pojawił się zmiennik Emila. Nazywał się Dziobaty Edzio i miał podły charakter. Ze stoickim spokojem przyjrzał się leżącemu koledze i podjął określone czynności. W pierwszej kolejności przeszukał kieszenie Emila i sprawdził zawartość jego teczek. Następnie z coraz większą determinacją zajrzał do szafek i biurka, a nawet do kubła na śmieci. „Wszystko drań wychłał” – pomyślał ze złością i napełnił brudny kubek wodą.

– A masz pijanico! – zawołał wylewając zawartość kubła na głowę Emila.

Emil zerwał się na równe nogi i bez namysłu zdzielił Dziobatego kolejowym lizakiem w głowę. W tej samej chwili przez stację przejechał osobowy do Warszawy.

„Nawet się kurwa nie zatrzymał?!” – zdziwił się Emil. Wytarł zakrwawiony lizak o spodnie i nachylił się nad Dziobatym.

– O jejku, jejku – udawał ciężko rannego Edzio.

Emil westchnął i przejechał go jeszcze raz po krzyżu. „Skąd we mnie tyle agresji?” – pomyślał retorycznie i nachylił się nad rozkładem jazdy.

Dziobaty jęczał dalej, ale już ciszej.

– Nie przeszkadzaj Edziu – mruczał pod nosem Emil – muszę się skupić, gdyż dzieją się tu dziwne rzeczy.

Na potwierdzenie jego słów spiker zapowiedział pociąg z Małkini. Emil pomyślał, że spiker znowu się upił, bo nigdy nie słyszał o takiej miejscowości. Wyrzał przez okno i zafrasował się, na drugim peronie rzeczywiście stanął pociąg. Poprawił czapkę, wziął do ręki chorągiewkę i odważnie wyszedł na zewnątrz.

– Dokąd jedzie ten pociąg? – zapytał podróżnego wychylającego się przez okno – I proszę się nie wychylać – dodał służbowym tonem.

– Och ty w mordę – zapieklił się pasażer – To ty też nie wiesz?

– Dawaj go tu! – zawołała z głębi przedziału tęga kobitka – Może przynajmniej zna drogę!

– Proszę się nie wychylać – rozpaczliwie powtórzył Emil i szybko się oddalił.

Miał ochotę zapaść się pod ziemię. Nagle wyrósł przed nim ogromny konduktor i wrzasnął mu w twarz:

– Odjazd! Odjazd! Machaj pan chorągwią!

Emil machał i machał dopóki pociąg nie zniknął za horyzontem, dopóki nie stanęła przed nim bufetowa z dworca. Włos miała rozwiany i pierś w nieładzie.

– Ty łobuzie – wysapała z trudem łapiąc powietrze – pozwoliłeś mu odjechać.

Wyrwała zdumionemu Emilowi chorągiewkę i pobiegła z powrotem do bufetu.

– Oddam ci tę flagę jak przyznasz się do ojcostwa! – wydarła się na całą stację.

– Nigdy! – twardo postawił się Emil.

Bufetowa pogroziła mu pięścią i znikła w dworcowym holu.

– Tylko zbliż się do mojego peronu, garkotłuku – mruczał mściwie Emil – Jezus, Maria, tylko się zbliż!!

Przemknął chyłkiem do dyspozytorni, gdzie miał zamiar się powiesić. Nie miał zamiaru niańczyć konduktorskiego bachora.

Edzio doszedł już do siebie, stał nad zlewem obmywając sobie ranę. Emil postanowił powiesić się innym razem. „Sponiewieraj go jeszcze” – szepnął mu do ucha diabeł. „Skąd we mnie tyle agresji?” – zdziwił się ponownie Emil i już, już sięgał po lizak, gdy ciekawość przemogła agresję.

– Edziu, czy w nocy była jakaś katastrofa? – zapytała bawiąc się niewinnie lizakiem.

– Nie było – pośpieszył z odpowiedzią Dziobaty zasłaniając głowę rękami.

Emil odetchnął z ulgą.

– Dzwoniłem do Naczelnika – informował Edzio – o tym nic nie powiedziałem – dodał przyjaznym tonem wskazując głowę.

– I co?

– Wprowadzili nowy rozkład jazdy.

Emil pomyślał, że towarowy z Gąsek, który za karton piwa puścił „poza konkursem” można uznać za zaginiony. Przez stację przemknął pociąg i zrobiło się cicho.

– Co to było? – zapytał Emil.

Dziobaty zerknął na rozkład i bezradnie wzruszył ramionami.

– To przynieś piwo – rozkazał Emil sięgając po „Dzielnego Kolejarza” – Jest pod semaforem. Zarządzam pogotowie kolejowe!

– Tak jest! – wesoło zawołał Dziobaty i już go nie było.

czerwiec 2002

TEATR WIDZĘ OGROMNY

Od godziny przedzierałem się do domu przez miasto. Było to nieliczne wyzwanie, a wszystko przez to, że w porze meczu zachciało mi się obejrzeć Szekspirowskiego „Hamleta” w Teatrze. Sztukę obejrzałem z zachwytem, ale teraz większą sztuką było w całości i zdrowiu wrócić do domu.

W pierwszą zasadzkę wpadłem w Parku Przyjaźni. Uratował mnie refleks i rozłożyste drzewo, na które się wdrapałem. Oprawcy zdążyli zerwać mi tylko prawy but i pognali za jakimś nieszczęśnikiem, który spacerował z pieskiem. Nie słyszałem wrzasków, kwików i wołania o litość to może mu się poszczęściło. Facet musiał być przyjezdny i ktoś chciał się go brutalnie pozbyć, psa też.

Na Placu Przymierza tylko przytomność umysłu i wrodzony spryt uratowały mi skórę. Udałem martwego kładąc się na jezdni, że niby samochód mnie potrafił. Ręce rozrzuciłem na boki, a głowę schowałem w rękaw płaszcza, ze niby urwana. Dranie sprawdzali jeszcze czy żyję ciągnąc mnie za nogi sto metrów po kocich łbach. Zabrali mi drugiego buta.

Na bosaka dotarłem wreszcie do mojej ulicy. Świeciła tylko jedna latarnia i to akurat pod moją bramą. Stali tam! Co za bzdura z tym powiedzeniem, że pod latarnią jest najciemniej. Przywarłem całym ciałem do ściany domu i pod osłoną nocy zdobywałem cenne centymetry. Planowałem dostać się do sąsiedniej bramy, a potem na dach, z dachu po piorunochronie zsunąć się na balkon sąsiada, który miał wiatrówkę.

Niestety, nie zdążyłem nawet dojść do bramy! Wszędzie było ich pełno! Wypatrzyli mnie w tych egipskich ciemnościach i ruszyli w szalony pościg.

Może bym i uciekł, ale wpadłem do wykopu na sąsiedniej ulicy. Po godzinie wyciągnięto mnie z dołka na własne życzenie. A niby co miałem tam robić?

Moim oczom ukazało się trzech młodych dżentelmenów. Poczęstowali mnie relanium i doprowadzili moją garderobę do porządku. Zanim odzyskałem funkcję mowy podpisałem trzy umowy tzn. wykupiłem trzy polisy na życie w trzech różnych towarzystwach ubezpieczeniowych. Zanim zrozumiałem co się stało zostałem sam na ulicy. Spokojnie i bez przygód wróciłem do domu.

Już nie boję się gradobicia, złodziei, ognia i szalikowców. Jednak nie chodzę do teatru. Nie stać mnie. Pierwsza składka pochłonęła całą moją wypłatę. Być albo nie być, oto jest pytanie.

wrzesień 2002

KTO BYŁ PIERWSZY?

pod wpływem Wiecha

– Uważasz pan pierwszeństwo? – zapytał mnie sąsiad spod trójki.
Stał golutki pod swymi drzwiami, tak jak go matka natura stworzyła. Jedynie beret tkwił mu rozpaczliwie na czubku głowy podkreślając jego stan emocjonalny.

– Względem czego, panie Kolczyk? – zapytałem zaciekawiony.

Golas zajrzał mi głęboko w oczy.

– Względem współzycia rodzinnego i jego poszanowania, ma się rozumieć – odparł dramatycznym tonem.

Pan Kolczyk zsunął fantazyjnie beret na tył głowy i ciężko westchnął.

– Wielkanoc za pasem, zgadzasz się pan?

– Bezwarunkowo! – potwierdziłem.

– To znaczy potrzeba jest po zimowej porze to i owo odświeżyć, do porządku doprowadzić. Na ten przykład małorolny chałupę na biało ma przymus ochlapać, czy kąpieli zażyć jak w moim przypadku czyli anfas upiększyć. Bon ton tego wymaga i basta!

– Ma się rozumieć – przytaknąłem skwapliwie.

– I tu, uważasz pan, o pierwszeństwo do kąpieli całe nieporozumienie rodzinne wynikło. Żona z córkami tak mnie urządziła, że stoję na publiczny wizerunek jak ten święty turecki.

– To o kolejność zażywania kąpieli się rozeszło pańskie fo pa z małżonką?

Pan Kolczyk pokiwał smutnie beretem.

– W rzeczy samej. Uważasz pan, co mnie powiedziały, głowie rodziny, gdy już jedne nogę w wannie miałem? Że kobieta to pramatka natury, pierwsza na ląd wyszła i życie dała.

– Do której godziny masz pan te kare?

– Jakie kare? – zapieklił się pan Kolczyk. – Sam wyszedłem! Tak się teraz protestuje! Przyłączysz się pan? Będzie nas trzech. Zaraz przyjedzie szwagroszczak.

Obiecałem, że jak tylko kupię zielenine na świąteczny stół zrzućmy łachy i protestuję z nim.

– Nie możesz pan z marszu? – zapytał wyraźnie niezadowolony – Tu o męskie dume chodzi

– Nie mogę, żona na zielenine czeka – przyznałem uczciwie.

– A schowaj się pan w podarte harmonie! – zdenerwował się rzucając beretem o ścianę.

W dużej rozterce zbiegłem pod schodach nękany wyrzutami sumienia. Bądź co bądź chodziło o męską solidarność. Wracając z zakupów już nie zastałem pana Kolczyka. Widocznie szwagroszczak też nawalił. W końcu czy to ważne kto był pierwszy?

maj 2000



Pan Kółczyk pokiwał smutnie baretem.

– W rzeczy samej. Uważasz pan, co mnie powiedziały, głowie rodziny, gdy już jedna noga w wannie miałem? Że kobieta to pramotka natury, pierwsza na igrą wyszła i życie dała.

– Do której godziny masz pan tę karę?

ZAPACH JAŚMINU

Profesor Zenobi zakończył pracę. Zamknął laboratorium, oddał klucze portierowi i wyszedł na ulicę. Dochodziła północ. Padał rzęsy deszcz. Profesor jednak nie zwracał uwagi na pogodę. Nucił pod nosem piosenkę z musicalu Gershwina przeskakując kałuże jak młodzienszki, a na jego mokrej od deszczu twarzy błąkał się szatański uśmiezek.

W tym samym czasie na posterunku policji przy ulicy Lupina inspektor Lose grał z komputerem w szachy. Po siódmej z rzędu porażce (nie tracąc rywala z oczu) inspektor wyjął z biurka długi śrubokręt i dźgnął go w podzespoły doprowadzając do zwarcia. Po czym ze stoickim spokojem zapisał w notesie krótką notkę: „8 rano – zadzwonić do serwisu komputerowego (reklamacje!!)”. Pod hasłem reklamacje była jeszcze jednak uwaga: „wymienić lustro weneckie”. „Taak – pomyślał Lose przypominając sobie wczorajszą konfrontację – koniecznie wymienić!” Lustro zamontowano odwrotnie i podczas rozpoznania członkowie gangu Kulfona naocznie przekonali się kto ich sypie, kto w ich sprawie jest świadkiem koronnym. Nieszczęsny świadek siedział teraz w celi, zamknięty na własną prośbę i umierał ze strachu.

Ostry dzwonek telefonu przerwał rozmyślenia inspektora.

– Tu sierżant Lipka – zaskrzeczał głos w słuchawce – jestem w Instytucie Chemii, mam tu dwa trupy, niech...

– Jadę! – przerwał mu uradowany Lose i rozłączył się. „Nareszcie jakaś uczciwa zbrodnia” pomyślał i zatarł ręce.

Na miejscu inspektor żwawo wziął się do roboty. Rzucił płaszcz stojącemu w drzwiach sierżantowi i wszedł do laboratorium.

– Mam nadzieję, że nie wchodziłeś tu przede mną? – spytał groźnie.

Lipka wzruszył ramionami.

– Wchodziłeś! – zajęczał z wyrzutem Lose – nigdy się nie nauczysz!

Rozejrzał się po laboratorium i aż zapiał cienkim dyszkantem z wrażenia.

– Dwa! Meldowałeś dwa trupy! A ja widzę tylko jednego, gdzie drugi?!

– Były dwa – jękał się sierżant – zszedłem na dół zadzwonić, wracam, leleży tylko jeden, druuuugi zniknął...

– Znikający trup! – przerwał zgryźliwie Lose – Może to był zombi, co? Ile lat w policji?

– Za tydzień będzie dziesięć – zameldował z dumą sierżant.

– Jeszcze zobaczymy czy będzie jubileusz – znęcał się Lose.

– Było tak jak mówię – hardo postawił się Lipka – o tu mam zapisane jak byk – podsunął pod nos inspektora notatnik – cytuję: „jedne zwłoki zniknęły” i znak zapytania.

– Taak, widzę tu same znaki zapytania – westchnął Lose.

Nachylił się nad nieboszczykiem i odwrócił twarzą do siebie. Dreszcz emocji przeleciał mu po krzyżu. Widział już tę twarz! Tylko gdzie?

– Lipka, popatrzcie tu na tego, skądś go znam! – zawołał.

– Mnie też wydał się znajomy.

– A ten drugi co wyparował?

– Drugiego nie ruszałem!

Lose podszedł do stołu, na którym piętrzyły się różnego rodzaju słoje, menzurki i urządzenia. Na samym brzegu stało małe akwarium, w którym pływały trzy zielone żabki. Jedna z nich próbowała wydostać się na zewnątrz.

– Może udziabac? – zapytał szeptem zza pleców Losego sierżant.

Inspektora aż podrzuciło do góry!

– Lipka! – warknął – Sprowadź mi tu profesora, natychmiast!

Inspektor został sam. Próbował zebrać wszystko do kupy i wyciągnąć jakieś logiczne wnioski. Były dwa trupy – dotąd jasne. Jeden zniknął – tu zaczynały się schody. Ktoś usunął zwłoki lub niedoszły denat pozbiierał się i o własnych siłach opuścił laboratorium. Lose przeszukał kieszenie nieboszczyka, były puste, nic, zupełnie nic. Ale widział już gdzieś tego gościa, tylko gdzie? Można by sprawdzić w komputerze listy gończe, ale jak? Przeklęte szachy! Lose jeszcze raz pochylił się nad umarlakiem i wtedy jego nozdrza podrażnił intensywny zapach jaśminu. Wyjął notes i zapisał: „jaśmin w listopadzie?” Po krótkim namyśle skreślił notatkę. „Co było przyczyną zgonu?” Zastanawiał się. Denat nie miał żadnych zewnętrznych obrażeń, ran kłutych czy postrzałowych. Można by nawet powiedzieć, że wyglądał bardzo czerstwo, zdrowo. Buźka okrągła, zarumieniona. Trucizna?

Lose westchnął ciężko i przytknął czoło do zimnej szyby akwarium. Żaby jak na komendę podpłynęły w jego stronę. „Nie boją się mnie – pomyślał z satysfakcją – jakie miłe, widocznie czują we mnie dobrego człowieka”. Wytrzeszczył groźnie oczy i pokazał im język. Żabki ochlapały go wodą i schowały się za kamień.

– Och, wy w mordę! – zdenerwował się Lose.

Złapał za podbierak i zanurzył go w akwarium.

– Jesteście aresztowane – zawołał – wszystkie trzy! Stawiam wam zarzut czynnej napaści na funkcjonariusza podczas pełnienia obowiązków służbowych! He, he, he!

– O co jestem oskarżony?! – atakował od samego wejścia profesor Zenobi.

Sierżant Lipka siłą wyciągnął go z łóżka. Groził zakuciem w kajdanki i nie pozwolił się ubrać. Profesor miał na nogach bambosze, a jego pidżamę zdobioną żółtymi słonikami okrywał jedynie ortalionowy płaszcz.

– O co jestem oskarżony?! – powtórzył i stanął jak wryty.

Lose akurat pakował do foliowej torebki zielone żabki.

– Co pan robi? – wyjąkał profesor.

Lose uśmiechnął się ironicznie. Dobrze znał te filmowe wejścia pełne protestów i oburzenia.

– Żaby już siedzą, profesorku – zawołał triumfalnie – teraz twoja kolej, myślisz, że będziesz bezkarnie truć ludzi jaśminem czy jaką inną cholera?

Inspektor czuł, że mimo późnej nocy umysł ma jasny i rześki jak nigdy dotąd.

– Niech mi pan lepiej wytłumaczy, co ten umarłak robi w pana laboratorium?

Profesor Zenobi zamrugnął nerwowo oczami. Sierżant Lipka dla podkreślenia swojej czujności zadzwonił kajdankami. Stał za plecami profesora gotowy na wszystko, przynajmniej tak mu się wydawało.

– To mój portier – oznajmił wreszcie – przecież on żyje, o nawet teraz ruszył ręką.

W tej sekundzie sierżant rymnął jak długi na podłogę. „To jednak zombi” pomyślał jeszcze lecąc na posadzkę. Nieboszczyk stękał, jęczał i rzeczywiście wracał powoli do świata żywych. Lose z wrażenia wypuścił torebkę z żabami na ziemię. Zenobi stanął przed nim i wbijając mu palec w pierś cedził przez zaciśnięte zęby:

– To po to, pana człowiek, nota bene bydlak, siłą wyciągnął mnie z łóżka?

Lose czuł, że wcześniejszy powiew rześkości minął bezpowrotnie. Rozbolała go głowa.

– Nota bene – wyszeptał z trudem – pan też pachnie jaśminem.

Usiadł ciężko na krześle i schował twarz w dłoniach. Profesor machnął ręką i rzucił się do łapania żabek, które zdążyły wywędrować na korytarz.

Portier przestał jęczeć i stękać. Podniósł się uczepiając stołu i napił prosto z akwarium. Otrząsnął jak pies, który wyszedł z wody

i rozejrzał dookoła. Ze zrozumieniem i aprobatą popatrzył na leżącego Lipkę i mrugnął znacząco do inspektora.

– Czołem panie komendancie – zachrypiął – wiedziałem, że tego nie da się długo utrzymać w tajemnicy. Szwagier już wyszedł?

Lose nie odzywał się. Poznał niedoszłego denata. Znanego w całym mieście ochlapusa, amatora wszelkiego rodzaju napojów wysokowych, niech go cholera.

Portier jeszcze raz łyknął z akwariium i chwiejnym krokiem ruszył do wyjścia. W drzwiach zatrzymał się, wyjął z kieszeni pomiętego papierosa i zapalił.

– Źle pan wygląda – rzucił przez ramię w stronę inspektora – niech pan sobie gólnie z akwariium. Wyborna jaśminówka! Wódka bezalkoholowa!

Lose milczał. Portier czknął nieładnie i pogroził palcem.

– Na szczęście profesorowi znowu się nie udało, dalej trzyma procenty jak cholera. Nobla nie będzie.

„Jeśli żabki były pijane? – pomyślał Lose powoli nabierając pewności siebie – to słusznie je aresztowałem” i napił się jaśminówki.

sierpień 2002

ARSEN LUPIN

KONTRA KONFITURY

Słońce już od tygodnia nie wschodziło i nie zachodziło. Burze jedna za drugą przewalały się nad miastem. Wiatry wiały z ogromną siłą równocześnie ze wszystkich czterech stron świata. Najstarsi ludzie nie pamiętali takiej aury. Oprócz babci klozetowej z restauracji „Kolorowa”, która pamiętała wszystko i zdarzenia jeszcze straszniejsze.

Od tygodnia trwał proces Lucjusza L. zwanego „Kisielowym Potworem”. Dziś przewód sądowy dobiegał końca. Za parę minut miał zapasć wyrok. W świetle dowodów i zeznań licznych świadków mógł być tylko jeden: winny! Nawet opinia biegłego psychologa sądowego była jednoznaczna. „To zatwardziały recydywista – czytamy w orzeczeniu – nigdy nie zrezygnuje z okazji by uderzyć następnym raz. Nie wiercie w jego skruchę i obietnice poprawy. To chytry i łakomy typek. Wiem coś na ten temat!”

Przyznacie państwo, że w ostatnim zdaniu orzeczenia było coś osobistego. Czytajmy dalej: „Badany w bezwstydnym sposób chlubi się swoim wyrafinowanym podniebieniem i jeszcze śmie czerpać z tego zyski. To nieuleczalnie chory, uzależniony od dżemów, kisieli i budyni skrytożerca. Największy pożeracz deserów minionej dekady. Bezlitosny i przebiegły sprawca wielu domowych dramatów.”

Lucjusz L. siedział spokojnie na ławie oskarżonych i bawił się pluszowym misiem. Godne podziwu opanowanie. Prokurator był bardzo zwięzły i rzeczowy. Nie bawił się w piękne słówka i zbędne gesty. Zażądał kary dożywocia i bardzo zadowolony z siebie nucił pod nosem pieśń galerników z opery „Nabucco”.

Obronca poparł wnioszek i bezradnie rozkładając ręce klapnął ku uciesze publiki obok krzesła na parkiet. Sędzia sprytnie zarządził

przerwę przed ogłoszeniem wyroku i cała trójka opuściła salę żegnana wielkimi brawami.

Lucjusz L. zachowywał kamienny spokój, a nawet gorzej. Z zimną krwią wyłupywał oczko małemu pluszowemu misiowi. Miś podczas procesu mrugał pocieszająco do swojego pana. Teraz żałował, że nie wziął całej winy na siebie. Postawiono mu co prawda zarzut nieumyślnego uczestnictwa, ale się wyłgał.

„Zaraz wyłupię mi drugie oko – pomyślał ponuro – potem wyszarpię mi języczek, a jeszcze później przyjdzie kolej na łapki” – martwił się na zapas.

Lucjusz schował jednak misia do tornistra i wyjął kredki i zeszyt do kolorowania.

– Żeby nie twój zakichany „Związek Pluszowych Misiów” – mruczał cicho kolorując żabę na fioletowo – to byś kapusiu pluł trocinami.

– Budyniowy oprawca! – odciął się bohatersko miś, ale tak żeby Lucjusz przypadkiem nie usłyszał – Zadarłeś nie z tym misiem co trzeba. Będzie miał do czynienia ze wszystkimi przytulankami! „No, może oprócz małpki” – poprawił się w myślach.

Lucjusz nie słyszał pogroźek misia. W ogromnym skupieniu gryzł koniec kredki zastanawiając się: czy konik może być na zielono?

Publiczność na sali zaczęła się niecierpliwić. Babcia klozetowa zrzędziła, że jak żyje nie widziała takich mułów bagiennych jak sędzia i prokurator. Adwokata zaliczyła do gatunku wymarłych świstaków popromiennych. Nikt co prawda nie słyszał o takim zwierzęciu, ale babka pamiętała wszystko i wierzonej na słowo.

– A krówkę pomaluję na żółto – mruczał Lucjusz nie zwracając uwagi na zamieszanie na sali.

Wreszcie na salę wrócił sędzia. Zapanowała uroczysta cisza. Słychać było jedynie skrzypienie kredki i sapanie misia.

– Ogłosi wyrok! – ucieszyła się babka klozetowa i miś z tornistra też.

Obyło się bez sensacji. Zgodnie z przewidywaniami Lucjusz L. alias „Kisielowy Potwór” został dożywotnio pozbawiony deserów. Misia oczyszczono z zarzutów współuczestnictwa i uniewinniono. Jednakże obydwu oddano pod kuratelę babci klozetowej na czas nieokreślony.

Lucjusz z dumnie podniesioną głową opuszczał salę sądową ostro eskortowany przez babkę. Tylko miś martwił się na zapas: czy mu babcia prosto przyszyje oczko.

marzec 1999

Z ARCHIWUM X

Zastygłe w bezruchu niebo przecięła nagle błyskawica rozpraszając po okolicy miliardy iskier. Na polnej drodze przy chlewiku Chlebków stanął ziejący ogniem i dymem pojazd żywcem przeniesiony z powieści Wellsa, tylko może bardziej futur i elegant. Wysiadło z niego dwóch zarośniętych kurdupli. Jeden z nich jak szalony pognał w stronę krzaków trzymając się za portki. Drugi postać chwilę i z powrotem wszedł do maszyny wzbijając się w przestworza. Niebo rozjarzyło się oslepiającym blaskiem jakby miał zaraz nastąpić koniec świata. Wtedy z krzaków wyskoczył nieszczęsny kurdupel nr 1. Z ręki zwisała mu niczym opuszczona bandera rozwinięta do połowy rolka papieru toaletowego z okresu wczesnego PRL-u. Nawet iskry ze startującej rakiety nie dały mu rady. Kurdupel stał wygrażając pięścią niebu. Został sam na obcej planecie.

W tym samym czasie w domu Chlebków grał i śpiewał Jerry Lee Lewis, ostro i zgrywnie na cały regulator. Lucek Chlebek i jego syn Kubuś mieszkali sami i żyło się im jak w bajce. Zgodnie ze swoim światopoglądem od rana do wieczora różnili w karty bez względu na pogodę, porę roku i sytuację międzynarodową. Teraz też łupili aż miło!

– Misio dopadł ula – wołał stary – biję twego króla!

Ale synek nie był gorszy.

– Dzisiaj musi niedziela bo mam asów wiele – wtórował dzielnie ojcu.

Gdy stary doliczył się w talii szóstego asa rozległo się natarczywe pukanie do drzwi. To uratowało skórę juniora. Pukanie zmieniło się w walenie i stary odłożył wymierzenie kary na później. „Tylko go wychłostam” przyrzekł sobie w duchu idąc do drzwi.

W progu stał kurdupel kosmita ściskając w łapie papier toaletowy.

- Chcesz pan do kibla? - zapytał opryskliwie stary - a na polu to nie łaska?

- Jestem Lulu z planety Lala, zgubiłem się - odparł przybysz i wlaź w zabłoconych buciskach do środka.

- A ja jestem Rumcajs - zarechotał stary - a to mój syn Cypisek, tylko Hanki nie ma, uciekła z księciem panem.

- Miło mi - odparł grzecznie obcy - Wy Kiepscy?

I zaczął chodzić w kółko po mieszkaniu, aż Chlebkom zakreśliło się w głowach. W końcu zatrzymał się przed telewizorem i usnął na stojąco. Obcy spał, a telewizor zwariował, włączał się i wyłączał, aż poleciały z niego iskry.

- Tato, ten mały jest z kosmosu! - zawołała uradowany Kubuś - Będę miał swojego ufoka!

Stary nie podzielał entuzjazmu syna. Znal tylko jeden kosmos, była to knajpa IV kategorii w pobliskim miasteczku. Oderwał wzrok od telewizora i postanowił być zły, skurwysyńsko zły!

- Ten krasnolud zepsuł nam telewizor! - warknął - Zaraz wykopię gnoja na dwór!

Mimo wrodzonej odwagi zaczął się nagle pocić.

- Jakby się rzucał - szepnął do syna - udusimy jak kota.

Obcy jakby przeczuwał zagrożenie nagle obudził się i znów zaczął szwendać po mieszkaniu z zainteresowaniem oglądając każdy przedmiot. „Może to komornik - błysnęło staremu z nadzieją - chodzi po chałupie jak po muzeum, no tak, nowe metody”.

- W zeszłym tygodniu był pana kolega - zauważył złośliwie.

Obcy milczał.

- Telewizor już pan zepsułeś! - dodał z wyrzutem.

- Macie komputer? - odezwał się wreszcie obcy.

– W Domu Kultury – odpowiedział Kubuś – ujawni się pan NASA?

Przybysz wyraźnie się przestraszył

– Wy kto? - zapytał

– Polaki – dumnie odpowiedział stary.

Przybysz jakby jeszcze bardziej skurczył się w sobie. Stary Chlebek nabrał pewności siebie.

– Czy ty wiesz tato, jaka to inteligencja? – szepnął do ojca synek.

– A po cholerę nam kłopoty! – twardo odezwał się stary – Jak taki mądry to niech poda numery w totka na jutro!

– 3, 6, 11, 13, 27, 43 – wyrecytował przybysz.

Obcemu pościelono w kuchni na kozetce. Mieszkał tam do soboty do godziny 0. Po losowaniu zamknięto go w chlewiku i będzie siedział do sądnego dnia, chyba że poda Chlebkom prawidłowe numerki.

luty 2001

ROBIN HOOD

– Imię i nazwisko? – zapytał inspektor.
– Robin Hood – odparłem grzecznie.
– Czyli nic się nie zmieniło! – ucieszył się lekarz.
– Zmieniło się i to dużo! – zawołałem dramatycznie – Mały John postrzelił się z łuku w oko!

Inspektor zmełł w ustach przekleństwo i uderzył pięścią w stół.
– Pewnie zaglądał do lufy, co? – zawarczał jak wściekły pies.
– Zginął mi też pluszowy miś – rozplakałem się – jeszcze rano był w szafeczce.

– Znajdziemy go – uspokajał mnie lekarz karcąc wzrokiem inspektora – pewnie poszedł na lody i zaraz wróci.

Otarłem łzy brzegiem kaftana i pocałowałem lekarza w rękę. Wiedziałem, że to lubi.

– To nikt go nie porwał?
– Ależ skąd! – zapewnił poluzowując mi kaftanik.

– Pluszowe misie nie jedzą lodów! – zawołał odkrywczym inspektorem – Mów pan, gdzie są pieniądze, bo nie ręczę za siebie!

– Niech się pan nie zapomina – zasyczał jak wąż lekarz – jest tu pan tylko gościem. Pacjent należy do mnie!

– Już niedługo – mściwie zamruczał inspektor przerzucając akta.

– Dlaczego Robin Hood miałby zdefraudować pieniądze swoich klientów? – zapytał lekarz ironicznie.

– Żeby pławić się w rozpuście i zbytku – palnąłem bez namysłu.

Inspektor klasnął w dłonie, a lekarz mocniej zacisnął kaftanik.

– Mam cię oszukać! – cieszył się inspektor – Gdzie ukryłeś pieniądze?

– Misio je zakopał – odparłem szczerze.

Lekarz spojrzał z wyższością na inspektora i znów poluzował mi kaftanik.

- Gdzie zakopał? – zapytał głaszcząc mnie czule po głowie.
- A dostanę ciasteczko jak zdradzę kryjówkę misia?
- Nie mamy na takie bzdety funduszy – zezłościł się inspektor.

Lekarz wzruszył ramionami i zamówił przez telefon dwa ptysie. Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Ma pan ładne oczy – przerwałem ciszę zwracając się do inspektora.

Na szczęście do izolatki wszedł sanitariusz z dwoma ptysiami na gumowej tacce i inspektor nie zdążył skoczyć do moich. Zrobiło się całkiem przyjemnie, tylko inspektor gapił się na mnie z dziwnym błyskiem w oczach jak pałaszowałem ptysia prosto z ręki sanitariusza. Znałem symptomy takiego spojrzenia, w końcu miałem na oddziale różnych kolegów.

- To gdzie miś zakopał pieniądze? – zapytał spokojnie.
- W lesie Sherwood – odparłem przeczuwając najgorsze.

To, co się później stało zostało objęte tajemnicą lekarską na życzenie najwyższych władz i nie mogę wam tego opisać. Obowiązuje mnie przysięga. W każdym bądź razie mojemu lekarzowi przybył nowy pacjent. Siedzi w przytulnej izolatce po sąsiedzku i wydaje mu się, że jest Szeryfem z Nottingham. Słyszę codziennie jak ogłasza wszem i wobec, że rozpruje pluszowego misia, aż polecą z niego złote dukaty. Chyba waluty mu się pomyliły. Na szczęście nic nie mówi na temat Robin Hooda.

Za kilka dni wracam do świata zdrowych psychicznie. Lekarz stracił mną zainteresowanie z chwilą pojawienia się nowego przypadku pod postacią inspektora. Z jednej strony żałuję, poznałem tylu ciekawych ludzi; naukowców, artystów i wielu było tam na własne życzenie. Nie spotkałem tam natomiast ani jednego polityka i dręczy mnie pytanie: dlaczego? Przecież wiele ich programów znalazłoby tu prawdziwy poklask i uznanie. Na dodatek wszystko wypada i wszystko jest dozwolone. Prawdziwy raj!

maj 2003



MŁOTEK

relacja z sali sądowej

Sędzia żwawym krokiem wszedł na salę rozpraw i usiadł za stołem.

„Znowu zginął młotek” pomyślał ze złością piorunując wzrokiem dziennikarzy. Prokurator aż podskoczył z radości: „Niedoczekanie twoje, żebyś sobie grzmocił dla pustej uciechy, ty snobie” – zamruczał mściwie. „Zaraz będzie wam ubliżał” – ostrzegł dziennikarzy – „nagracie go”.

– Nie ma głupich – szepnął reporter znanej gazety – żeby nas oskarżył o prowokację?

– Woźny! – ryknął sędzia – Gdzie jest woźny!?

Na sali zapadła grobowa cisza. Sędzia dyszał jak doberman, prokurator wyłamywał sobie palce by nie zakwiczec z uciechy, a adwokat rozglądał się dookoła z rozpaczą jakby płynął na „Titanicu”. Miał gigantycznego kaca i po raz trzeci w tym tygodniu pomylił sale. Na rozkładzie miał sprawę rozwodową, a tu na ławie oskarżonych siedziało dwóch gangsterów wcinających chipsy.

Wszyscy na sali: komandosi, dziennikarze i spora grupka świadków, w tym najważniejszy koronny, już współczuli woźnemu. Sytuację uratował jeden z oskarżonych.

– Znajdę woźnego! – zaoferował się.

– I słusznie, niech nie myśli, że mu się upieczce – zawołał sędzia – leć synu, tylko migiem!

– Wezmę do pomocy brata, będzie szybciej.

– I słusznie – zgodził się sędzia – nie będziemy tu siedzieć do kolacji!

Prokurator spojrział na zegarek i zerwał się z krzesła.

– Macie na to 5 minut! – pouczył oskarżonych.

Prokurator był głodny, a za godzinę zamykano bufet i jego „lepsz strona człowieka” odeszła w niebyt. „Kara śmierci to za mało” – zamruczał pod nosem i nie wiadomo kogo miał na myśli: bufetową czy woźnego?

– Przy okazji, chłopcy – instruował sędzia oskarżonych, jakby ci wyjeżdżali za siódmą górę, rzekę – przynieście mi z bufetu galaretkę z nóżek, śledzia po japońsku i kawę. Macie tu 50 złotych i ganiajcie na jednej nodze!

– I wodę mineralną – wtrącił sprytnie adwokat.

Zamówienie sędziego wywołało u prokuratora silne ssanie w dółku tak dokuczliwe, że podniósł rękę.

– Panie kolego! – zachnął się sędzia – Pan nie może pójść, powaga urzędu nie pozwala!

Prokurator usiadł i gapiąc się tępo przed siebie postanowił nie myśleć o jedzeniu. „Będę sobie powtarzał paragrafy i artykuły, te najcięższe!” – postanowił twardo.

Oskarżeni wybiegli z sali jakby ich ścigała sfora wściekłych psów. „Nadgorliwcy” – syknął pogardliwie prokurator. „Zuch chłopcy” – ocenił sędzia. „Chipsy wyszły” – odetchnął adwokat.

Minął kwadrans, chłopcy nie wracali. Po drugim sędzia skapitułował. „Musiał się woźny dobrze schować skoro dwóch ludzi nie może go znaleźć – myślał ponuro – młotek diabli wzięli, taki ładny młoteczek!”

– Zaczynamy! – zarządził przeglądając akta i aż zagwizdał z podziwu.

– Nieźle ptaszki tu mamy – zwrócił się do oghupiałego z głodu i wrażenia prokuratora – Ileż to panie kolego można w swoim krótkim życiu nabroić.

– Ale nie ma oskarżonych – zauważył radośnie adwokat.

– To nie zwalnia nas panie mecenasie od wypełniania naszych obowiązków! – zdenerwował się sędzia – Jest przecież trzeci oskarżony!

– Ależ to świadek koronny! – oburzył się prokurator.

Sędzia obraził się i wsadził nos w akta.

– Cofam immunitet świadka koronnego! – zawołał triumfalnie jakby odkrył tajemnicę kamienia filozoficznego.

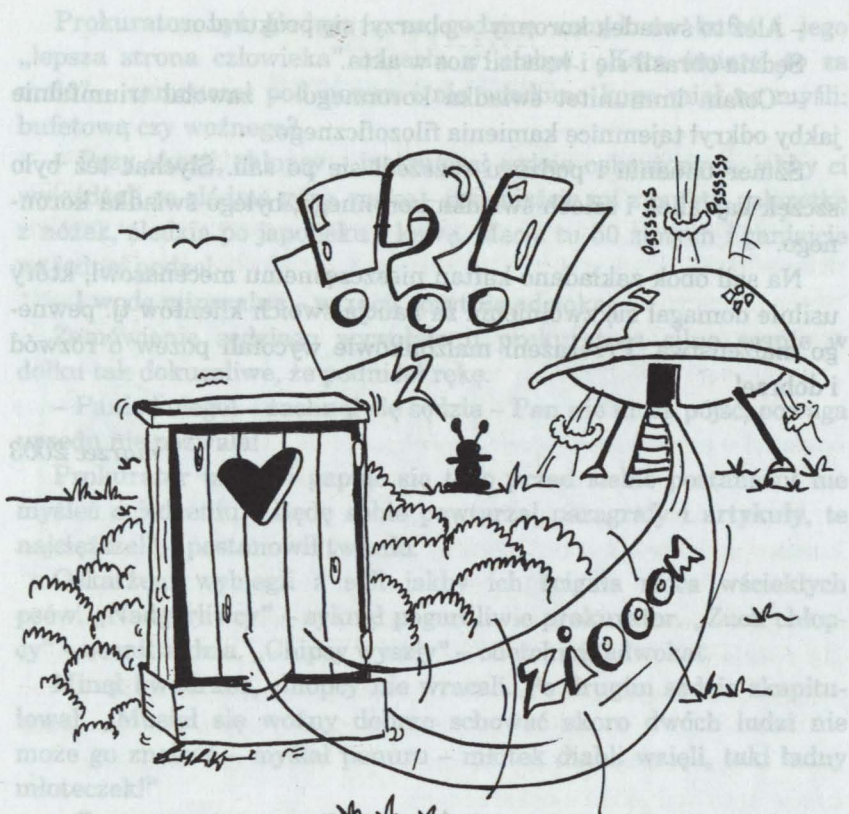
Szmer uznania i podziwu rozszedł się po sali. Słysząc też było szcęk kajdanek i szloch świadka koronnego, byłego świadka koronnego.

Na sali obok zakładano kaftan nieszczęsnemu mecenasowi, który usilnie domagał się zwolnienia za kaucją swoich klientów tj. pewnego małżeństwa. Przerażeni małżonkowie wycofali pozew o rozwód i dobrze!

marzec 2003

List III

Dobra, gówniarzu, sam tego chciałeś! Doigrzałeś się! Jak nie szanujesz rodzonej matki, to spotka cię zasłużona kara. Dzwoniłam do pana Rutkowskiego i on już cię niewdzięczny smarkaczu znajdzie, nie takich gagatków wyluskiwał z kórca maku. Jest mi to dłużny. Daję ci ostatnią szansę! Nie dzwoń pod stary numer, jest już nie-



- Nie zdążył się przywiązać - pocieszał go Ryszardzik. Było mu przykro, że spłoszył ptaszka.

- Szkoda, że nie mieliśmy chleba.

- Szkoda - zgodził się Nikodem i pomyślał, że w obliczu śmierci poeci zmieniają się. Rzucają czapkami, płoszą ptaki. Jednym słowem - nie panują nad sobą. Popatrzył na przyjaciela i postanowił skoczyć drugi. „Muszę usłyszeć jego krzyk” - pomyślał jak poeta - „To pozwoli mi go bliżej poznać”.

Ryszardzik siedział osowiały i układał w głowie ostatni wiersz. Były to piękne strofy i żal ogarnął poetę. „Te słowa umrą wraz ze mną - myślał - świat nigdy ich nie usłyszy”.

Tymczasem Horacy po sprawdzeniu, z czystej ciekawości, gdzie upadła czapka, wrócił na dach. Za nic nie chciał przegapić widowiska.

- Skoczę drugi - zdecydował Nikodem.

Ryszardzik jakby miał drugą czapkę, to również pofrunęłaby na dół.

- Niby dlaczego? - zapytał zjadliwie.

- Chcę usłyszeć twój krzyk - wyznał szczerze Nikodem. Ryszardzik popatrzył z uznaniem na przyjaciela.

- Rozumiem - uśmiechnął się smutno - Tylko jeszcze nie jestem pewien, czy będę krzyczeć.

- Będiesz - odparł Nikodem z przekonaniem - Krzyk poety jest bardzo ważny. Ryszardzik ożywił się, nagły przypływ energii rozjaśnił mu twarz.

- Masz rację! Krzyk poety jest bardzo ważny!

- Tylko co będziesz krzyczał? - zaciekał się Nikodem.

- Właśnie - zafrasował się Ryszardzik - To nie może być byle jaki slogan. Te słowa powinny głęboko zapaść w ludzkie serca. To muszą usłyszeć wszyscy.

- Chcesz skakać z tubą? - zdziwił się Nikodem.

Ryszardzik wzruszył ramionami.

Wróbel Horacy zaczął się nudzić, a pomysł, by skakać z tubą wydał mu się głupi. W mieście i tak było dużo hałasu, a ci co skakali z wieźowców darli się jak opętani. Na dodatek wyjące syreny karettek pogotowia i policyjnych radiowozów, tego było za wiele.

– W takim razie ja skoczę w ciszy – zdecydował Nikodem – Jest bardziej wymowna.

– To tak jakbyśmy stworzyli razem coś, coś... – jękał się zachwycony Ryszardzik.

– Coś pięknego – dokończył Nikodem.

– I dramatycznego.

– Właśnie.

Wróbel Horacy ciężko westchnął i w tej samej sekundzie nastąpiło zaćmienie słońca i ciemność spowiła miasto. Widocznie ptaki nie powinny wzdychać, a w szczególności pospolite wróble.

– W ciemnościach cisza jest inna – zauważył Nikodem.

– Tylko, że wcale nie jest cicho – odparł kwaśno Ryszardzik.

– Jest.

– Nie jest.

Kłócili się tak przez dłuższą chwilę, jeśli chwila może być mierzona w jakichkolwiek proporcjach.

– Jest!

– Nie jest!!!

Kłócili się coraz gwałtowniej, ale już tylko dla samej zasady. Nie zauważyli nawet, że zerwał się wiatr, z tych, co to niczego dobrego nie przynoszą. Wiatr posępny, zimny, wręcz wrogi wszelkim żywym stworzeniom i do tego okropny wyjec. Poeci przestali się słyszeć.

– Czy teraz też jest cicho? – wrzasnął z triumfem Ryszardzik. Przyjaciel chociaż go nie słyszał i nie widział, upierał się przy swoim.

– To jest właśnie inna cisza! – krzyknął z jakąś dziką radością. Rozmowa w tej nowej sytuacji sprawiała im przyjemność.

– Skoczmy teraz w ciemne czeluście, a ten wiatr doda nam skrzydeł – wołał Nikodem.

– To pogoda dla poetów – radował się Ryszardzik – skaczmy, przyjacielu.

– Zgasło słońce.

– Koniec świata.

I skoczyli.

Szkoda, że wróbel Horacy nie mógł tego widzieć.

Trzy dni wiał porywisty wiatr. Trzy dni trwało całkowite zaćmienie słońca. A we mnie wraz z pierwszymi podmuchami wiatru pojawił się niepokój, który do dziś mnie nie opuszcza, chociaż niebo błękitne nade mną w czystą poezję wpisane.

– W tym słuchowisku pojawiło się ukryte zło i do tego nie nazwane – zaopiniował Teodor – i to mi się nawet podoba.

– A ja myślę, że poeci nie zginęli – powiedziała Rosita – Wiatr uniósł ich w bezpieczne miejsce.

– Tak. To była dobranocka.

– I jakby kabaret tylko, że nie śpiewali.

– I bardzo dobrze! – parsknął Teodor – W kabarecie najważniejsze są skecze. Nie lubię jak śpiewają.

– Ja też – zgodziła się Rosita – Wtedy się nudzę.

– Najważniejsze są wrażenia estetyczne! – podsumował Teodor odwracając się do ściany – Wyłącz radio.

– O tym wróbelku nic nie powiedzieli – zmartwiła się Rosita – Ciekawe, co się z nim stało?

– A kogo to obchodzi, śpij.

* * *

– Najpierw seks, a potem krwawa jatka – powiedział Teodor zamykając książkę – i to ma być literatura piękna?

– Albo odwrotnie i „nie opuszczę cię aż do śmierci”. Ciąg dalszy nastąpi – powiedziała Rosita, chociaż nie czytała książki.

– Ale ty jesteś cyniczna.

– Żeby coś napisać, trzeba mieć pomysł a nie w nieskończoność powielać inne – odparła Rosita bez przekonania, bo czuła, że nie wyraziła się jednoznacznie.

– Nie wyrażasz się jednoznacznie – zauważył Teodor i rzucił książkę na stolik. „To tak jakbym się powtórzyła” – pomyślała Rosita. Teodor zaparzył kawę i postanowił coś zmienić w swoim życiu. Popatrzył na leżącą na kanapie Rositę. Rosita i kanapa. Kanapa i Rosita. Brakowało tylko psychoanalityka. Teodor sączył kawę i wczuwał się w rolę. Przyglądał się żonie starając się wymazać z pamięci fakt, że zna ją od 10 lat. Rosita leżała przykryta kocem, z pod którego wystawało jej aksamitne udo i patrzyła na niego z zaciekawieniem. Zastanawiał się czy nie zacząć od seksu, ale to by automatycznie zniszczyło relację lekarz–pacjent.

– Masz ciekawy wyraz twarzy – odezwała się Rosita – Mam wrażenie, że pożera mnie wzrokiem jakiś obcy facet.

– Jak się z tym czujesz?

– Podoba mi się to – powiedziała wyraźnie podniecona. Relację lekarz–pacjent szlag trafił. Kochali się długo i namiętnie, jakby to był ich pierwszy raz. Nigdy im tak dobrze ze sobą nie było, no może kiedyś, na początku, ale oni tego nie pamiętali. Leżeli obok siebie bez tchu paląc jednego papierosa.

– Zdradziłam męża – wyszeptała Rosita gryząc Teodora w ucho. Teodor analizował zaistniałą sytuację.

– A twoje motywy postępowania? – zapytał.

Rosita nie odpowiedziała, patrzyła na obraz, na którym mały stateczek walczył z ogromnymi falami, a na jej twarzy błąkał się zagadkowy uśmiech.

– Zresztą to bez znaczenia – mruknął Teodor.

Nie potrafił wysnuć naukowych wniosków.

Rosita wyciągnęła w jego kierunku rękę, a jego natychmiast ogarnęło pożądanie.

Pomyślał, że jako mąż nie ma szans zostać psychoanalitykiem swojej żony, a jako kochanek absolutnie nie jest tym zainteresowany.

* * *

– Konkurs na opowiadanie o tematyce współczesnej – przeczytała na głos Rosita – Bardzo ciekawe.

Teodor zmywał naczynia po obiedzie i nic go w tej chwili, po za tą czynnością, nie obchodziło.

– Słyszysz! – zawołała – Mógłbyś coś napisać! Teodor złośliwie milczał.

– Wszystko krytykujesz, nic ci się nie podoba, to chyba masz coś do powiedzenia. Teodor starannie wycierał naczynia i nadal milczał.

– Mogę ci nawet podrzucić ciekawy temat – kontynuowała Rosita – na przykład: „Rola żony w duchowym rozwoju męża”.

Teodor zamknął oczy i wyobraził sobie nagłówek w jutrzejszej gazecie: „Znany i ceniony pisarz wyrzuca z 8-go piętra swoją żonę i zostaje aresztowany. Kto odbierze nagrodę Nobla?”. Teodor zacisnął pięści i policzył do stu.

* * *

Było ciemno i agent Roy przypalił papierosa filtrem. Zakrzuszył się i tym samym zdradził kryjówkę swojego oddziału. Wróg ostrzelał całe zbocze likwidując siedmiu jego kolegów. Cała akcja wzięła w łeb. Roy jednak ocalał chociaż dostał się do niewoli. Dwóch wielkich drabów wyciągnęło go z krzaków i postawiło przed oblicze Wielkiego X.

– A więc tak wygląda słynny agent Roy – odezwał się po dłuższej chwili milczenia X.

– Nic nie powiem – zaznaczył na samym wstępie Roy, bo tak go szkolono.

– Bohater – stwierdził ze znanstwem X. Roy wypiął dumnie pierś.

– Nawet jak będę cię przypalał ogniem i polewał benzyną? – zaciekał się X.

– Tego nie jestem pewien – zawahał się Roy – Wypuście mnie – poprosił. X wzruszył ramionami.

– A kto by cię tu trzymał?

– To idę do domu – skłamał Roy.

Roy wrócił do swojej starej kryjówki i kontynuował obserwację. Rano zmienił go kolega, agent Rox.

– Nie pal papierosów z filtrem – poradził mu Roy.

Sponsorem aż zatrzęsło ze złości.

– Stop! – wrzasnął – Co to ma być?!

– Film – odparł bohatersko reżyser.

– O czym? – zawył Sponsor.

– O szkodliwości palenia – wtrącił scenarzystą.

– Jak najbardziej – poparł go aktor grający Roya.

Był prawie żółty i ciągle pokaszliwał. Ponad 20 dubli zrobiło swoje.

– Zrobiliście reklamę papierosów bez filtra – jęknął Sponsor – jak ja to wytłumaczę w Ministerstwie Zdrowia.

– Będę was skarżył – zakaszał Roy.

– Niby kogo? – przestraszył się Sponsor.

– Ministerstwo Zdrowia – odparł Roy – A niby na czyje zlecenie był ten film?

– Właściwie film spełnia swoją edukacyjną rolę – zauważył reżyser.

– Naturalnie – zgodził się scenarzysta – Jest przyczyna i skutek, sprawca i ofiara. To było zamierzone.

Nikt mu nie uwierzył, a Roy popatrzył na niego z nienawiścią.

– Ja jeszcze żyję – odezwał się z pretensją choć zabrzmiało to bardzo żałośnie.

Sponsor zgłupiał, drżącymi palcami wyłuskał z paczki papierosa i przypalił filtrem. Roy popatrzył na niego z wyrzutem.

– Panowie, zmieńcie przynajmniej zakończenie – poprosił Sponsor gasząc papierosa.

– Nie zgadzam się! – zawołał scenarzysta – To zamach na wolność słowa.

– Cen-zu-ra – wycedził reżyser krzywiąc się jakby zjadł cytrynę. Sponsor był bliski płaczu.

– Zrywam umowę – wyszeptał.

– Zrywam umowę – powtórzył głośniej i zataczając się jak pijany wyszedł ze studia.

– No i masz babo placek! – zawołał reżyser – Był klient i nie ma klienta!

– Umowa zerwana z winy klienta! – ucieszył się scenarzysta – Zaliczka jest nasza.

– Ale co zrobimy z filmem? – zmartwił się reżyser – Szkoda go na półkę.

Co się stanie z filmem? Mogą państwo dzwonić do nas i sami zdecydować jak ma się zakończyć nasz program.

a. Filmowcy sprzedadzą go wytwórni papierosów bez filtra.

b. Ukradnie go Roy, by mieć dowód w sprawie przeciwko Ministerstwu Zdrowia.

c. Pójdzie na półkę.

– Widzisz! – powiedział Teodor do Rosity – To jest demokracja! Sama możesz wybrać zakończenie. Ja wybieram drugą opcję czyli b.

– Tak myślałam – zezłościła się Rosita – tylko byś się procesował.

Wyciągnij jakieś wnioski z tej audycji, nie pal tyle albo przerzuć się na papierosy bez filtra. Są mniej szkodliwe.

– Co wybierasz?

– Też b.

– No to dzwonimy. Rosita sięgnęła po telefon.

– Ale my się nie kłócimy, prawda? – zapytała.

– Ależ skąd! – stanowczo zapewnił ją Teodor.

– I kierują nami wartości dodatnie?

– Tak jest – odparł Teodor – Innymi słowy kierują nami względy humanitarne i tak dalej.

– To itd. mogłeś sobie darować.

– Przepraszam.

* * *

W basenie Lorda Yale pływała złota rybka. Nie spełniała jednak *życzeń*, mało tego, pyskowała jak stara jędra i ubliżała gościom. Lord wielokrotnie ostrzegał ją, że trafi na stół w formie suszy, jeśli nie zachowa umiaru w wyrażaniu swoich poglądów, ale na niewiele się to zdało. Złota rybka mimo swojej urody miała zakuty łebek i nic do niej nie docierało. Na domiar złego, nie potrafiła utrzymać języka za zębami i donosiła na Lorda jego żonie, trzeciej żonie. Taka kobieca solidarność.

Większość donosów była przez złotą rybkę zmyślona, bo trzeba dodać, że był to wyjątkowo podły gatunek ryby o chorej wyobraźni. Taki faunus cholerus.

Lord postanowił pozbyć się szpicla. Nie było to jednak takie łatwe. Próbował trzykrotnie. Za pierwszym razem wynajął zabójcę z agencji „Koci Łeb”, ale kot okazał się ofermą i sam stał się ofiarą. Tak niefortunnie podłączył przewód do gniazdka, że zanim zgotował wodę w basenie sam upiekł się jak grzanka. Oczywiście pani

dowiedziała się o zamachu i Lord przez tydzień spał w szopie w jednym łóżku z ogrodnikiem, grubasem, który miał wodowstręt i ślinił się jak winniczek.

Za drugim razem Lord wpadł na pomysł, by wpuścić do basenu rekina żarłacza.

W rzeczywistości nie był to żarłacz ale żarłok i na dodatek leń. Godzinami potrafił drzemać na dnie basenu budząc się jedynie na posiłki. Złota rybka absolutnie go nie interesowała. Lord kazał pozbyć się rekina darmozjada. Ogródnik w pierwszym odruchu chciał bestię wywieźć do lasu i tam zastrzelić z dubeltówki, ale nie wiadomo z jakiego powodu ruszyło go sumienie i zmienił zamiar. Po prostu wrzucił żarłoka do basenu Ser Aleksa mieszkającego po sąsiedzku.

Ser Aleks następnego dnia rano nawet nie zdążył się zdziwić. Skoczył na główkę prosto w przepastną paszczę rekina. Śniadanko jak się patrzy.

Lord przez dwa tygodnie nie dostawał deserów, w tym ulubionego budyniu.

Trzeciego sposobu pozbycia się złotej rybki nie możemy państwu przedstawić z powodu wygórowanych żądań finansowych scenarzysty. Ciąg dalszy nie nastąpi.

– I bardzo dobrze, bo już mnie cholera brała! – zawołał Teodor – Ten Lord to chodzące nieszczęście! Fajtłapa!

– Złościsz się tylko dlatego, że ta złota rybka nie chciała spełniać jego życzeń, znam cię – odezwała się Rosita – Te wasze męskie zachcianki! Teodor prychnął pogardliwie.

– Nic bym od tej szui nie wziął.

– A ja bym miała kilka życzeń – rozmarzyła się Rosita.

– Idź spać – mruknął niegrzecznie Teodor naciągając koc na głowę.

* * *

Poeci Ryszardzik i Nikodem trafili do piekła, ale nie za zakłócanie ciszy, jak twierdzili złośliwcy. Ich krzyk, przesłanie do potomności co prawda przekroczył normy o kilka decybeli, ale nie to było powodem, że stanęli przed obliczem rogatego urzędnika. Diabeł Recepcjonista paskudnie zaklął, gdy dowiedział się, że ma przed sobą poetów.

– Same z wami kłopoty – narzekał – Nie wiadomo jak was rejestrować. Co mam wpisać w rubryce zawodów?

– Jak to co? – zdziwił się Nikodem – Proszę wpisać: poeci.

– Nie ma takiego zawodu – zżymał się rogacz.

– Kto tu rządzi? – z głupia frant zapytał Ryszardzik.

– Mefisto – krótko odparł Diabeł i z dumą dodał – z zamiłowania kucharz sosista. To co wpisać?

– Widocznie nasza poezja nawet w piekle nie zyskała uznania – zasmucił się Nikodem – skoro nie uważają nas za poetów.

– I po co było się tak drzeć? – westchnął Ryszardzik. Diabłu zrobiło się przykro.

– To nie nasza wina, panowie – mówił łagodnym tonem.

– A kogo?

– Klasyfikują Anioły – westchnął szukając czegoś w papierach – Zaraz znajdę adnotację na temat waszej twórczości. Jest! „Tak zwani poeci, Ryszardzik i Nikodem piszą pod publiczność...”.

– Gówna prawda! – przerwał Ryszardzik. Rogacz tylko wzruszył ramionami.

– Ja tam się na poezji nie znam. Wpisuję: „poeto podobni”. Jest to chyba jakiś kompromis.

Idziemy!

„Poeto podobni” ruszyli ze spuszczonymi głowami za diabłem. Szli długim jasnym korytarzem, na końcu którego jarzyło się czerwone światło.

- Tam na ziemi, nawet nie przeżyłem prawdziwego romansu - jakby zdziwił się Nikodem.

- Tu też nie przeżyjesz - nie pocieszył go rogacz - to czerwone światło każdego myli. Tu nie ma kobiet.

- Chyba śnie! - zawołał Ryszardzik - To niby gdzie są?!

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć, ale tu na szczęście ich nie ma - odparł znudzonym głosem diabeł - Polityków zresztą też. To porządne piekło.

- A my dokąd zmierzamy? - zapytał Nikodem.

- Na oddział „Urodzonych pod złą gwiazdą”. Ostatnio zbyt często tam chodzę i już mnie to nudzi, co w piekle nie powinno się zdarzać. Wczoraj zaprowadziłem tam scenarzystę, który pisał tylko wesołe zakończenia.

- Na pewno z Hollywood - domyślił się Nikodem - To Szekspira na pewno tam nie będzie.

- To znaczy, że urodziliśmy się pod złą gwiazdą? - zapytał Ryszardzik.

- A kto skacze z dachu wieżowca na główkę? - zdenerwował się diabeł.

- To kwestia wyboru - zaprotestował Nikodem.

- Akurat!

Mijali ślepcę, który energicznie wywijał harmonią wygrywając na niej skoczne kawałki.

- Ja już go gdzieś widziałem - szepnął Nikodem.

- Grał u Felliniego - również szeptem odpowiedział Ryszardzik.

- A skąd! - zaprotestował Nikodem - Stał pod wydawnictwem, kiedyś go wspomogłem.

- Dwudziestoma groszami - prychnął pogardliwie ślepiec. Poeci szybko ominęli grajka.

- Za co on tu trafił? - zapytał Nikodem.

- Donosicielstwo - rzucił lakonicznie diabeł.

– Hę, hę – zarechotał Ryszardzik – To pewnie grał też w „Zakazanych piosenkach”. Długo będzie tu tak pitolił? Diabeł wzruszył ramionami.

– To wolne piekło.

Nikodem pomyślał, że demokracja jest jak zaraza, trafiła nawet do piekła.

– Słyszałeś, Teodorku? – zawołała Rosita – Kobiet nie ma w piekle!

Teodor udawał, że śpi.

„To właśnie jest trzecia strona medalu” – pomyślał.

Czuł się jak mistrz, którego zjedli na kolację wierni uczniowie, by posiąść jego wiedzę. Wstał z łóżka i wyrzucił telewizor przez okno.

– Koniec z tą feministyczną propagandą! – zaryczał – Wielkie mi okno na świat!

– Teraz rozumiem, dlaczego nie ma w piekle kobiet – odezwała się spokojnie Rosita – mają je tu, na ziemi.

Telewizor nie spadł na bruk, dostał skrzydeł, bo akurat nadawano program z cyklu „Latające Maszyny”. Miał sobie fruwać do końca jego emisji.

Teodor roześmiał się jak szalowiec i zawył. Rositę przeszył dreszcz przerażenia.

– Kto ma pierścień władzy, kobieto? – zapytał tocząc pianę z pyska. Zmieniał się na jej oczach w bestię.

Rosita pobiegła do kuchni i przytomnie chwyciła największą patelnię. „Ja ci dam feministyczną propagandę” myślała rozłoszczona nie na żarty. Zanim Teodorowi wyrosły rogi i zanim zdążył pokryć się łuską, dzieliła go patelnią w łeb.

Wszystko wróciło do normy. Oprócz telewizora, który zderzył się z chodnikiem.

„Ideal sięgnął bruku” – zapisała Rosita w swoim pamiętniku bardzo poruszona swoją wrażliwością.

Po powrocie ze szpitala Teodor dziwił się wszystkiemu, a najbardziej swojemu imieniu i zwracał się do Rosity „proszę pani”. Jedynie patelnia wydała mu się znajomym przedmiotem szczególnie podczas smażenia jajecznicy. Ale zanim wrócił do domu...

Po przewiezieniu Teodora do szpitala zajęł się nim sam ordynator. Umieścił go w izolacie i postanowił porozmawiać z nim osobiście, by jak się wyraził, zobaczyć, gdzie jest pies pogrzebany i gdzie sroczka kaszkę warzyła. Teodor był nad wyraz spokojny, a jego niewinne kaprawe oczka zdawały się pytać: co uczyniłem takiego, że wsadziliście mnie w kaftan bezpieczeństwa?

Ordynatora trudno było zwieść na kaprawe oczy.

– Co to za wierszyk pan mówił na izbie przyjęć – zagał sprytnie – Bardzo mi się podobał. Teodor uśmiechnął się.

– Powiem za lizaka – odparł grzecznie.

Ordynator zastanawiał się czy chce mu się słuchać recytacji, czy od razu zrobić pacjentowi zastrzyk. Tymczasem w Teodora wstąpił diabeł. Za wszelką cenę chciał działać.

– Doktorze, proszę mnie natychmiast rozsuptać! – ni to błagał ni to rozkazywał – Ja muszę do szkoły!

– A po co?

– Zapomniałem tornistra a chcę się dalej kształcić!

Ordynator pomyślał, że ten nagły pęd do edukacji to pierwszorzędny przykład zidiocenia.

– W jaki kierunku? – zapytał szykując strzykawkę.

– Co w jakim kierunku? – zdziwił się Teodor.

– W jakim kierunku chce się pan kształcić? Teodor nagle stracił zainteresowanie nauką.

– O co panu chodzi? – zapytał szczerze zdumiony. Ordynator westchnął i wbił igłę w ramię Teodora.

– Prześpi się pan godzinkę i wszystko wróci do normy – przemówił słodkim głosem. Teodor już nie dosłyszał słów lekarza.

Zastrzyk zadziałał i biedacek w końcu zasnął.

– Kto mi grzebał w szufladzie z zastrzykami! – darł się na cały szpital ordynator – Która krowa podmieniła mi fiołki!?

Teodor obudził się po 10 minutach i poczuł jak Herkules w stajni Augiasza. Nie miał już kaftana, więc bez trudu wstał z łóżka i jednym kopnięciem wywalił drzwi od izolatki.

Po drodze stratował dwóch sanitariuszy i byłby niechybnie wy dostał się ze szpitala, gdyby nie pomylił drzwi. Wszedł do małego kantorka gospodarczego, gdzie sprytnie zamknęła go drobna pielęgniarka.

– Tak musiał wyglądać dusiciel z Bostonu – wyszeptała ze zgrozą przekręcając klucz w zamku.

– Pomniejszę wasze puste łby a korpusy wypcham trocinami jak mnie nie wypuścicie! – darł się jak opętany Teodor.

– Ostatni raz pytam! – wtórował mu ordynator – Która krowa grzebała w zastrzykach! Wodził strasznym wzrokiem po pielęgniar-kach i sapął jak zgoniony odyniec.

– Wypuść mnie doktorze, to ci powiem – zawołał Teodor.

– Nie ma głupich – zaśmiał się lekarz.

– To dajcie mi przynajmniej siekierę i kompotu z suszonych śliwek – negocjował Teodor.

– Trzeba tego wariata jakoś unieszkodliwić – wyszeptała drobna pielęgniarka patrząc ze strachem na drzwi, w które walił Teodor.

– Dam mu siekierę a sam ucieknę! – złorzeczył ordynator – To może dotrze do was, że nie wolno szperać w moich zastrzykach. Byłem przekonany, że dałem pacjentowi „głupiego Jasia”, po którym będzie spał przez dobę. Słowo honoru, dam mu siekierę, niech was nauczy rozumu.

– Co robić, co robić? – gorączkowo pytała drobna pielęgniarka.

– Dajmy mu kompotu – odezwał się nieśmiało młody lekarz.

– Zwalniam pana! – ryknął ordynator – Idę po siekierę i sam załatwię drania! Dość pobłażania! Poddaj się pan dobrowolnie, bo nie ręczę za siebie! Teodorowi było wszystko jedno.

– Ząb, dupa, dąb! – zawołał radośnie.

– Zaczął przeklinać, to znaczy, że osiąga apogeum psychodeliczne – zauważył młody lekarz.

– Dupa to nie przekleństwo – pouczył go ordynator – I niech pan się nie odzywa, przecież pana zwolniłem.

– O tym incydencie wypowie się związek zawodowy – wyniośle odparł młody lekarz.

– Wypuście mnie, a nie będę się mścił! – poprosił Teodor.

– Nie ma mowy! – sprzeciwił się młody lekarz i ostrzegł – To syndrom rozdwojenia osobowości.

– A idź pan w cholerę! – zgodził się ordynator zły na młodszego kolegę za jego nieustanne popisy – Tym razem panu daruję!

W ten oto sposób Teodor wrócił do domu.

– Nie do wiary, wariata wypuścili ot tak sobie do domu! – zdziwił się scenarzysta – Aż strach wyjść na ulicę.

Było to co najmniej dziwne, gdyż to on sam napisał powyższy tekst. Kierownik produkcji mrugnął do reżysera i popukał się wymownie w czoło.

– Trzeba dla społecznego dobra i bezpieczeństwa zmienić zakończenie – mówił scenarzysta – i ja się tego podejmę.

Reżyser pomyślał, że scenarzysta zrobi jeszcze karierę w polityce, a może nawet zostanie prezydentem ale nie przedłużył z nim umowy, dlatego żegnamy się z Teodorem i Rositą przynajmniej na jakiś czas, adieu.

* * *

Poeta Ryszardzik wyszedł z piekła tylnymi drzwiami, bo mu się nudziło. Nikodem podążył za nim rzucając na pożegnanie krótkie

„mucias gracias”. Diabeł odźwierny udając, że ich nie widzi, skrzątnie zamknął za nimi drzwi i odetchnął z ulgą.

– Nie wiedziałem, że znasz hiszpański – zdziwił się Ryszardzik.

– Ja też – odparł skromnie Nikodem.

Poeci otrzepali piekielny kurz z ubrań i wyszli na zalaną słońcem ulicę.

– Chodźmy do mojej siostry – zaproponował Ryszardzik

– Nie wiedziałem, że masz siostrę.

– Ja też.

– Czym się zajmuje?

– Gotuje pyszne ravioli!

– Innymi słowy, zna włoską kuchnię – ucieszył się Nikodem.

Ryszardzik nie odpowiedział, stanął jak wryty przed witryną księgami i wytrzeszczał gały. Tak, gały, bo oczy by tego wytrzeszczu nie wytrzymały. To co zobaczył zamurowało go, albo jak kto woli zamieniło w słup soli. (fajne te przenośnie i spodobały się też Nikodemowi).

– Wyglądasz jak żona Lota – powiedział stając obok przyjaciela – Co cię tak zdziwiło? Nikodem rzucił okiem i złapał się za głowę. Oczywiście była to perfidna gra aktorska. Witryna księgarni aż po brzegi zapelniona była pozycją pod tytułem „Czysta Poezja” autorstwa Nikodema.

– To jakiś koszmar! – odzyskał głos Ryszardzik – Koszmar! Nikodem gorączkowo szukał papierosów.

– Mamusiu kochana – mamrotał pod nosem – i wszyscy święci ile ja tego napisałem, pokażne tomisko, tyle forsy, koniec z barami mlecznymi, mamusiu kochana, diabli papierosy wzięli..

– Niech mnie pani uszczypnie – poprosił Ryszardzik starszą panią wychodzącą z księgami z opasłym tomem „Czystej Poezji” pod pachą.

– Odejdź zboczeńcu! – warknęła babcia i znikła za rogiem.

– Ja cię uszczypnę – zaproponował Nikodem.

Uśmiechał się głupkowato i przestępował z nogi na nogę, jak uczniak przyłapany na jakimś bezceństwie.

– Ty? – zdziwił się Ryszardzik z dzikim błyskiem w oczach – Ty?! Ciebie nie ma! Jesteś wytworem mojej wyobraźni.

– No dobra – pojednawczo odparł Nikodem – Co z tym ravioli?

– Ciebie nie ma! – krzyknął na całą ulicę Ryszardzik.

– No dobra – powtórzył Nikodem wzruszając ramionami – ale siostra gotuje pyszne ravioli, prawda?

W oczach Ryszardzika było coś takiego, że Nikodem postanowił więcej nie upierać się przy włoskiej kuchni.

– Wszelka niegodziwość musi być ukarana! – zagrmiał Ryszardzik niczym biblijny prorok. Kilka minut minęło zanim się uspokoił i zaczął jak mu się zdawało logicznie myśleć.

– To sprawka diabłów! Podlizywałeś się temu, pożałuj Boże kucharzowi od sosów, po których całe piekło łykało węgiel, to cię wydrukował!

– Wcale go o to nie prosiłem! – bronił się Nikodem.

– Wracam do piekła! – zdecydował Ryszardzik.

– Idę z tobą!

– Ani mi się waż! To będzie wyprawa tam i z powrotem! Już ja zrobię z nimi porządek!

– Co chcesz zrobić, przyjacielu? – zawołał Nikodem.

– Jeszcze zobaczysz!

Nikodem został sam. Żał mu było ravioli ale bardzo krótko. Rażnym krokiem z głową w chmurach i rękami w kieszeni ruszył w kierunku wydawnictwa po należne mu tantiemy. Następnego dnia na półkach księgarskich ukazała się nowa pozycja, która z miejsca podbiła rynek. Była to książka kucharska „Potrawy z piekła rodem” nieznanego autora podpisującego się skromnie literką M. Dzieło Nikodema znikło. Trzeba przyznać, że Ryszardzik trochę w piekle

narozrabiał. Dostało się Mefisto, oj dostało! Został w obecności swojej świty zrugany za zły gust i stronnictwo i żeby nie interwencja ochrony Ryszardzik wyrwał by mu brodę.

– Od dzisiaj żaden poeta nie ma prawa przekroczyć progu mojego królestwa! – ryczał wściekły Mefisto – Niech idą w diabły do nieba!

– Via czyściec czy bezpośrednio? – zapytał jakiś odważny diabeł.

– Co za osioł! – zdenerwował się Mefisto – O to niech się niebo martwi!

Anielski szpieg szybko doniósł zwierzchnictwu co wydarzyło się w piekle.

– A na końcu – dodał dla ubarwienia historii od siebie – poeta wytargał Mefista za bródkę, hi, hi, hi...

– No to mamy problem – jęknął Anioł Kadrowy i złożył podanie o wcześniejszą emeryturę. Anielski Sztab Kryzysowy zdecydował się na powołanie w trybie pilnym Egzekutywy w sprawie przyjmowania poetów do nieba.

Wróbel Horacy bardzo się zdziwił, gdy na dachu pojawili się znani mu już poeci. „Nieśmiertelni – pomyślał – albo mają spółkę z samym diabłem”.

– O, jest Horacy – ucieszył się Nikodem.

– Skąd wiesz czy to ten sam wróbel? – zapytał Ryszardzik.

– Sam nadałem mu imię, to wiem! – stanowczo odparł Nikodem – To Horacy!

– Niech ci będzie! – zniecierpliwił się Ryszardzik – Pokaż mi w końcu książkę tego rogatego imbecyla!

– Nie nazywaj go tak – przestraszył się Nikodem.

– Bo co?

– Bo jeszcze usłyszysz – szepnął Nikodem.

– Mam taką nadzieję! – krzyknął Ryszardzik i złośliwie powtórzył – Pokaż mi wypoćmy tego żałosnego rogacza.

„Niech mnie jastrząb świesnie!” zaczął Horacy „Nie myliłem się, mają spółkę z diabłem”.

– To przecież tylko książka kucharska, opamiętaj się – zawołał Nikodem.

– Nie broń go! – Ryszardzik pogroził mu palcem – Bo dostaniesz po ryju jak on! Dawaj te przepisy!

Poeta Ryszardzik groźnie zmarszczył czoło i pograżył się w lekturze. Im bardziej zagłębiał się w kulinarne przepisy Mefista, tym obficie przełykał ślinę, a burczenie żołądka usłyszał nawet Horacy.

– Nie mogę tego czytać – jęknął i opuścił na ziemię książkę – chcę mi się jeść. Chyba zaraz zeżrę na surowo twojego Horacego.

Horacy na wszelki wypadek usiadł na najwyższym kominie.

– To była przenośnia – uspokoił wróbla Nikodem. Horacy sfrunął na niższy komin.

– To tak jakby ktoś powiedział: zjem konia z kopytami – wyjaśnił Nikodem. Horacy na wszelki wypadek wrócił na wyższy komin.

– Ten Horacy to niezły wierci piątek – oblizał się Ryszardzik.

– Nie strasz ptaszka!

– Taś, taś, taś – wabił Horacego Ryszardzik nie zwracając uwagi na protesty Nikodema – Leć po patelnię, masło i przyprawy, taś, taś wróbelku, mniam, mniam wróbelku, nie zapomnij o śmietanie.

Nikodem zaintrygowany nagłą zmianą przyjaciela zajrzał do książki Mefista.

– Nie zapomnę o śmietanie na pewno i przyniosę wszystkie przyprawy – odezwał się po chwili i pobiegł na dół do sklepu.

– No, no, no – zaczął Horacy – to tak wyglądają diabelskie wersety.

Proszę się nie martwić, poeci nie przyrządzili sympatycznego wróbelka w śmietanie. W porę odleciał i zostawił dwóch niedoszłych wróblozerców na dachu z przyprawami w ręku. Nie pozostało im nic innego, jak pójść na ravioli do siostry Ryszardzika.

* * *

Siostra Ryszardzika mieszkała w małym domku na przedmieściu. Nikodem podczas drogi trochę wydziwiał. Twierdził, że w małych domkach za miastem powinny mieszkać tylko wdowy i babcie, a siostry poetów w śródmieściu.

– To powinno być regułą – przekonywał.

– Ta reguła brzydko pachnie – odparł Ryszardzik.

Nikodem nie czuł żadnego zapachu po za swoim potem, a ten wydał mu się nawet przyjemny.

– I padłeś na swój poetycki pysk – wyrecytował patetycznie Ryszardzik. Od wyjścia z piekła bardzo często zdarzało mu się improwizować.

– Bardzo ładne – pochwalił go Nikodem.

Siostra Ryszardzika przywitała poetów z charakterystyczną dla starszych pań serdecznością, a że była piękna pogoda, przyjęła ich w małym ogródku i usadziła w altance porośniętej winnym gronem.

– Moi drodzy chłopcy – rzekła tkliwie z matczyną troską – Jesteście na pewno głodni? Nikodemowi napłynęły do oczu łzy, gdyż przypomniał sobie swoją mamusię.

– Zjedlibyśmy nawet wróbla z kopytami – chlipnął przez łzy. Starsza pani uśmiechnęła się ciepło i podreptała do kuchni.

– Twoja siostra jest w wieku mojej babci – stwierdził Nikodem jakby trochę zdziwiony.

– Na pewno dostaniemy ravioli?

– Właśnie – kiwnął głową Ryszardzik – Wydawało mi się, że jest dużo ode mnie młodsza.

Babcia, przepraszam, siostra Ryszardzika nie ugościła poetów ravioli, ale czymś o wiele smaczniejszym, naprędce usmażyła placki ziemniaczane i podała je z dzbankiem koziego mleka.

„Dlaczego nie ma ravioli? – zdziwił się w duchu Ryszardzik – To chyba nie jest moja siostra”.

– Kim pani jest? – zapytał drżącym głosem. Starsza pani stanęła jak wryta.

– Co z tobą Rysiu? – wyszeptła.

Nikodem uderzył w stół, aż kozie mleko rozprysło na wszystkie strony świata.

– On nie jest Rysio! – zawołał – On ma na imię Ryszardzik! Kim jesteś kobieto i dlaczego nie podałaś ravioli?

– Jestem jego ciocią! – odparła zdumiona kobieta.

– Ciocia – westchnął Nikodem.

– Ciocia – zdziwił się Ryszardzik.

– Ciocia Jadzia – potwierdziła starsza pani.

– No tak – uśmiechnął się rozbrajająco Ryszardzik, co miało być niejako przeprosinami – a gdzie jest moja siostra?

– Rysiu, ty nie masz siostry – powiedziała łagodnym głosem ciocia – Jesteś jedynakiem. „Ktoś tu kłamie – pomyślał Nikodem – a placki stygną”.

– No tak, nie mam siostry – zgodził się Ryszardzik – ale zawsze chciałem mieć.

– To wszystko tłumaczy – ucieszył się Nikodem i sięgnął po placka.

„To temat dla psychologa” – pomyślał przyglądając się uważniej przyjacielowi.

– Nie martw się, ja też nie mam siostry.

– Oj chłopcy, chłopcy – westchnęła ciocia – powinniście zapoznać jakieś dziewczyny i trochę z nimi poszaleć.

– Po co? – równocześnie zdziwili się poeci.

– Dobrze wam to robi.

– Na co?

– Jedzcie placki bo stygną! – fuknęła ciotka i wyszła z ogródka.

- Poprosimy jeszcze mleka! - zawołał za nią Nikodem - Kozie mleko jest bardzo zdrowe - dodał ciszej, widząc jak Ryszardzik patrzy na niego z dezaprobatą i puka się wymownie w czoło.

- Koza stoi w komórcie za żywopłotem - odchrzyknęła niegrzecznie ciotka - akurat jest czas dojenia.

Nikodem zjadł ostatniego placaka i zlizął z ceraty rozlane mleko.

- Zeżarłeś ostatniego placaka? - zawołał zdęgustowany Ryszardzik.

- Ktoś go musiał zjeść.

- Ale dlaczego akurat ty?

- A dlaczego nie? - zdziwił się szczerze Nikodem.

- Bo to moja ciocia!

Ciąg dalszy nastąpi (jak to w życiu)

ANATOMIA SUKCESU

Pokaz mody był tak żenująco słaby, że połowa publiczności po spustoszeniu szwedzkiego stołu chyłkiem wymknęła się do domu przed jego zakończeniem, a pozostali goście stali w ciszy zdegustowani poziomem pokazu.

Serhinio, projektant prezentowanej kolekcji, wyszedł na wybieg wśród totalnej ciszy. Sam sobie bił brawo i kłaniał się na prawo i lewo.

Gwiazda popularnego serialu telewizyjnego parsknęła histerycznym śmiechem. Jej partner, znany reżyser filmowy zaklął siarczyście, a ktoś z tyłu zagwizdał jak na meczu futbolowym.

Serhinio nie stracił rezonu, uśmiechał się i ścisnął dłonie najbliższym stojącym gościom. Można by rzec, że dotykał manekinów. Młody człowiek w zielonej koszuli pstrykał mu zdjęcia. Zawodowi fotoreporterzy wsunęli kanapki z łososiem i byli już dawno na innej imprezie.

Na pożegnanie Serhinio stracił pewność siebie, wymamrotał kilka słów podziękowania i zniknął za kulisami.

– Ten młody człowiek powinien się powiesić – mruknął Luis do swojej asystentki – W tej branży jest już skończony.

Był niekwestionowanym królem mody i od wielu sezonów jedyną jej wyrocznią.

– Faktycznie nie był to dobry pokaz – westchnęła asystentka.

Luis wzruszył ramionami.

– Jak zwykle Leno, jesteś zbyt łaskawa. Widziałem setki prezentacji, ale tak była...

Szukał właściwego słowa.

– Nie mam nawet określenia.

– Często długo szukamy czegoś co mamy pod samym nosem.

Luis zerknął na Lenę z zainteresowaniem.

– Niby czego nie widzę?

– Nie uważasz, że w branży jest zastój. Mógłbyś wylansować Serhinio.

Luis prychnął z pogardą.

– Chyba, że pośmiertnie!

– Właśnie. Co byś powiedział jakby zszedł z tego świata, jak mu przed chwilą radziłeś?

– W centrum miasta i w godzinach szczytu – rozmarzył się Luis.

– Wtedy ty robisz jego pośmiertny pokaz.

– Dobrze! – zawołał – Żeby jeszcze napisał pożegnalny list. Przez rok nie schodziłby z pierwszych stron gazet.

– Mam z nim porozmawiać?

Luis spojrzał na Lenę z zainteresowaniem.

– Poczekaj, niech napiszę recenzję. – zażartował – Trzeba artystę dobić.

– Ja nie żartuję – odparła zimno.

– Nieśmiertelna sława nie ma ceny – zwrócił się do Leny po chwili namysłu.

– Właśnie.

– Niech wybiera, życie w zapomnieniu czy panteon wielkich mistrzów? – zapalił się Luis – O korzyściach sama pomyśl, to twój pomysł. Przede wszystkim wyłączość na jego tandetę.

– Jutro wieczorem dostaniesz odpowiedź od samego Wielkiego Serhinia.

– Nie bądź taka pewna.

– Nie jestem – rzuciła lodowatym głosem Lena, aż Luisa przeszył dreszcz.

Do licha – pomyślał – ona gotowa jest to zrobić.

Lena Veri od dłuższego czasu myślała o otwarciu własnego domu mody i tylko kwestie finansowe stały na przeszkodzie w spełnieniu tego marzenia.

Lena Veri była bardzo ambitną osobką.

Serhinio po pokazie nawet nie wszedł do garderoby modeli, by im podziękować. Zamknął się w swoim pokoju, zawiązał na szyi długi seledynowy krawat ze swojej kolekcji i usiadł przed ogromnym lustrem. Przyglądał się sobie uważnie i zastanawiał, co jeszcze mógłby w życiu bardziej sknocić. Debiut na wybiegu najbardziej renomowanego domu mody okazał się fiaskiem. Mimo niespełna 30-u lat nie miał czego szukać w tym biznesie. Nikt się nie poznał na jego kolekcji. Prostacy i dyletanci.

Marzenia o założeniu nowej dynastii w globalnym świecie mody okazały się mrzonką i to jakże bolesną.

Wyjął z szafki butelkę calwadosu i pociągnął spory łyk. Czuł się nieszczęśliwy i ponizony. Myślał o wielkich tego świata, który zmarli w nędzy i zapomnieniu. Nie pocieszyła go refleksja, że ich sztuka również rodziła się w wielkim bólu i cierpieniu, a nagroda spotkała ich po śmierci. Na to też nie miał szans. Serhinio czyli Marek Polak rozplakał się. Po pokazie nie dostał nawet jednej róży, które tak lubił.

Następnego dnia po południu Marek Polak pił kawę z cytryną w swojej kawalerce lecząc jabłkowego kaca. Na szyi miał jeszcze seledynowy krawat, a na czole guza wielkości śliwki. Po przeczytaniu druzgocącej krytyki Luisa w porannej gazecie zastanawiał się nad kontynuacją picia kiedy zadzwonił telefon. W pierwszej chwili pomyślał, że to okrutny żart. Lena Veri, asystentka i modelka Wielkiego Luisa zapraszała go na kawę.

„Jestem pod wrażeniem twojego pokazu” – usłyszał na koniec rozmowy.

Lena obiecała odwiedzić go w domu wieczorem. Nadzieja i ufność wstąpiły w skołatane serce Marka.

Wyjął lód z zamrażarki i przyłożył do czoła. Po krótkim namyśle otworzył butelkę calwadosu i sięgnął po „Łuk Triumfalny” Remarka.

Punktualnie o 19.00 Lena zapukała do jego drzwi. Po opróżnieniu dwóch butelek kochali się aż do utraty tchu jakby za chwilę miał nastąpić koniec świata. To determinacja jaką mieli w sobie, chociaż o innych podłożach, wyzwoliła w nich szaloną energię. Kochali się do świtu.

Rano Marek Polak wiedział co ma robić. Wiedział, że droga do sławy nie jest usłana jego ukochanymi różami i był gotów na największe poświęcenie.

Fotoreporterzy i dziennikarze najpoczytniejszych magazynów od dwóch dni oblegali mały domek na przedmieściach. Polowali na chociażby jedno zdjęcie, jedno słowo starszej pani, matki projektanta mody Serhinio, który w samym centrum miasta oblał się benzyną i podpalił.

Matka bohatera zgodziła się udzielić wywiadu jedynie Saszy, bardzo popularnej dziennikarce, która prowadziła telewizyjne talk show na żywo w domach swoich rozmówców.

Starsza pani była bardzo szczęśliwa, jej syn czuł się coraz lepiej i szybko wracał do zdrowia. Z ochotą odpowiadała na pytania.

Doświadczona dziennikarka wcześniej zadbała o dramaturgię programu i oglądalność pokazując w newsach popaloną twarz Serhinio.

– Jak od strony moralnej ocenia pani druzgocącą krytykę pokazu mody pani syna napisaną przez Luisa – pytała dziennikarka – ten nieszczęsny artykuł był przecież główną przyczyną próby samobójczej?

Starsza pani miała na sobie gustowną garsonkę ozdobioną sele-dynowym krawatem.

– To dzieło mojego syna – mówiła do kamery pokazując krawat – A temu panu co tak niegodziwie potraktował kolekcję mojego Marcuszka wybaczam. Tylko dlaczego w swoim artykule nazwał go bękartem sztuki mody i nakłaniał do samobójstwa?

– Mówimy tu o Luisie Wielkim, znanym kreatorze mody i wziętym projektancie – przypomniła widzom dziennikarka.

– Co można chcieć od tego krawata? – dziwiła się starsza pani – No, niech pani powie.

Sasza uśmiechnęła się do niej ciepło szukając wzrokiem kierownika planu.

– Chętnie założyłabym taki sam.

Zanim program się skończył goniec przywiózł ogromne pudło kolorowych krawatów z pracowni Serhinia. Cała ekipa telewizyjna łącznie z dziennikarką przystroiła się w różnobarwne, bezkształtne krawaty, najmocniejszy akcent kolekcji.

– Miał się powiesić – syczał jak wąż Luis – a nie ozdobić okaleczyć! Wygląda jak romantyczny pirat po bitwie morskiej! Już zdobywa popularność!

Lena Veri przyglądała mu się z niesmakiem.

– Mam przecież prawo do krytyki – miotał się po pracowni rozrzucając projekty – a oni robią ze mnie ludożercę! Ten pokaz był koszmarny!

– Zrób ten pokaz jak planowaliśmy – zawołała Lena – przecież poza tym, że przeżył, nic się nie zmieniło. Ten medialny szum można wykorzystać.

– Ty idiotko! Zapomniałaś, że gwarancję na pokaz projektów dostałaś wyłącznie po jego śmierci? Teraz to on jest na świeczniku i żebym okazał się złym prorokiem, ale cały Paryż i Londyn za dwa dni będzie paradował w jego krawatach. To było szybko ulega zbiorowej histerii!

– Moda jest nieprzewidywalna – filozoficznie rzuciła Lena – to twoje słowa.

– Idź do diabła! Lepiej radź co robić, a złote myśli został na pogrzeb Serhinio.

– Właśnie! – klasnęła w ręce – Jego śmierć rozwiązuje problem.

Luis skrycie myślał o takim rozwiązaniu. Najlepiej byłoby zgładzić tego nieudacznika! W tej chwili jego kariera i pozycja w branży była poważnie zagrożona. Wrogowie do tej pory przyczajeni w swoich norach lada dzień wypełzną i rzucają się na niego jak sfora wilków. Media odstawią go na boczny tor najzwyczajniej w świecie i szybko znajdą sobie nowego idola. To naturalny proces.

– Jak to zrobimy? – zapytał.

– Jeszcze nie wiem, ale wiem kto mógłby to zrobić.

– To się pośpiesz – mruknął pod nosem Luis.

Marek za kilka dni miał opuścić szpital. Blizna jaką miał po poparzeniach na twarzy nie wyglądała tak makabrycznie jak na telewizyjnym ekranie. Benzyny, którą się oblał i podpalił nie było dużo, tyle ile zmieściło się w butelce po calvadosie.

Akt szalonej desperacji całkowicie odmienił jego dotychczasowe życie. Udzielił kilku wywiadów, odwiedziło go mnóstwo wpływowych osób, a jego szpitalna sala tonęła w bukietach róż. Piękne kobiety wysyłały mu miłosne liściki. Lena Veri była już tylko złym snem.

To nie była sezonowa popularność czy współczucie, ale przede wszystkim ogromne zainteresowanie jego sztuką. Propozycje z największych domów mody sypały się jak z rękawa. Za prawa do masywnej produkcji krawatów dawano mu miliony. Pierwsza zaliczka w kwocie 100 tysięcy dolarów już wpłynęła na jego konto. Za kilka dni jego kolekcja będzie sprzedawać się na całym świecie.

Przyglądał się swojej twarzy w lustrze i miał ochotę ucałować swoje odbicie. Wyglądał jak romantyczny rozbójnik. Uroda prawdziwego mężczyzny po przejściach.

Jedyne zmartwienie, które go nurtowało to była umowa jaką zawarł z Luisem za pośrednictwem pięknej Leny. Nie dotrzymał warunków, ale do licha jak miał ich dotrzymać skoro przeżył. Miał szczerzy zamiar się zabić! Swoją drogą jak ta Veri mogła go tak opętać?!

Piękna Lena, asystentka Luisa była błyskotliwą i rozumną osobą mimo swoich 22 lat. Miała tylko jedną słabość o imieniu Antoni. Słabość Leny była dwa razy starsza od niej i pisała dla podrzędnego pisemka o szumnej nazwie "Złota Czcionka". Antoni prowadził rubrykę towarzyską i był słabym dziennikarzem.

W domowym zaciszu pisał powieść, która jego zdaniem miała mu przynieść nagrodę Nobla. Dwa rozdziały jego dzieła leżały od lat w szufladzie biurka i pokrywał je kurz. Antoni w głębi ducha położył krzyżyk na literackim Noblu i zarzucił pisanie. Okłamywał siebie i Lenę utrzymując, że ma powieść na ukończeniu, a ona mu wierzyła.

Związek tych dwojga był dla wielu ludzi z towarzystwa zagadką.

Piękna, błyskotliwa modelka i wiecznie podpity, niechlujny grafo-man. Lena na przekór światu i Luisowi była nim zauroczona. Widziała w nim coś, czego inni mimo starań nie byli w stanie zobaczyć. Nie trudno się też domyśleć, że nie miała przed nim żadnych tajemnic.

W przeddzień opuszczenia szpitala Marek dostał list. Anonimowy nadawca prosił go o jałmużnę w wysokości 100 tysięcy dolarów. Marek nawet nie doczytał do końca, roześmiał się tylko i wrzucił list do kosza.

Przez trzy kolejne dni Antoni kilkakrotnie zaglądał do banku i sprawdzał stan swojego konta, czym wzbudzał ogólną wesołość personelu. Konto nie powiększało się i debet pozostawał bez zmian.

Gdy po raz kolejny wrócił z banku z kwitkiem, popadł w melancholię. Sięgnął do szuflady po pożółkły rękopis. Miał zamiar go spalić, ale widok dawno odtrąconego i niechcianego dziecka wzruszył go do łez. Usiadł wygodnie w fotelu, przemył oczu i zaczął czytać. Z każdym przeczytanym słowem wpadał w coraz większy zachwyt nad swoim rękopisem. „To moje?” dziwił się, upajając własnym tekstem.

Pobiegł do sklepu po odpowiedni zapas papierosów i skrzynkę Bordo, zamknął drzwi na wszystkie zamki i wyłączył telefon. Zaparzył ogromny dzban kawy i ucałował maszynę do pisania.

W dwa tygodnie dokończył powieść nawet na chwilę nie wychodząc z domu. Pił kawę, wino i palił mocne papierosy. Nie miał czasu na jedzenie. Zaniepokojona Lena wezwała policję, która wyważyła drzwi. Widok był przerażający, ale i malowniczy zarazem. Antoni leżał pod biurkiem, a ostatni papieros dopalał mu się w dłoni. W drugiej ręce trzymał pustą butelkę po winie Bordo. Takie zdjęcie obiegło cały kraj. Antoni nie żył od kilku minut. Szczwany, stary lis, Inspektor policji Lenart milczał podczas oględzin zwłok.

Powieść Antoniego okazała się bestsellerem. Dziennikarz bez skrupułów opisał kulisy umowy między Luisem i Serhinio, ubarwiając całą historię wieloma wątkami niekoniecznie zgodnymi z prawdą. Nie oszczędził też Leny, czyniąc z niej podwójną kochankę głównych bohaterów i femme fatale intrygi. Na końcu powieści Serhinio i Luis giną w tajemniczych okolicznościach, a piękna Lena zakochuje się w utalentowanym, dobrze zapowiadającym się pisarzu, który zdobywa nagrodę Nobla. Hm... Marzenia zwykle rzadko się spełniają, a szczególnie po śmierci tracą swój sens.

Prawa do powieści Antoniego zakupiła telewizja z zamiarem realizacji super serialu z gwiazdorską obsadą.

Serhinio i Luis najbardziej ucierpieli, kiedy książka trafiła na półki księgarni. Krawaty przestały się sprzedawać i domy mody wycofały się z wcześniejszych zamówień. Środowiska opiniotwórcze, a wszędzie ich pełno, rozpętały burzliwą dyskusję na temat etyki w kulturze masowej.

Luis stracił swoją pozycję i stał się obiektem szyderstw. Gazetka „Złota Czcionka” zaproponowała mu pośmiertne postawienie pomnika w centralnym parku w zamian za skok z najwyższego budynku w mieście. Propozycje innych pism były jeszcze bardziej wymyślne.

Serhinia okrzyknięto komediantem roku, a jego karykatury w sele-dynowym krawacie zdobiły każdy ślup w mieście. Był bankrutem w dosłownym tego słowa znaczeniu. Przed wyjściem ze szpitala dostał drugi anonim, który przeczytał do końca i dostosował się do „prośby” nadawcy. W branży odzieżowej obaj byli skończeni. Została im tylko polityka, rozgłos już mieli.

Piękna Lena założyła wymarzoną pracownię krawiecką. Wśród jej klientów bywają nawet koronowane głowy, ale i zwykli ludzie. Projektuje wszystko i dla wszystkich oprócz krawatów, alergicznie ich nie cierpi. „Złota Czcionka” pisze o niej przy każdej okazji czyli robi to na okrągło.

Minęło pół roku, a Inspektor Lenart nadal budził się w środku nocy. Sprawa śmierci Antoniego Rosta dawno została zamknięta, ale nie dla niego. Stary wyga czuł, że nie umiera się od papierosów, kawy i dobrego Bordo tak nagle. Sekcja zwłok i liczne ekspertyzy wykazały, że denat było okazem zdrowia.

– Zmarł z wyczerpania – stwierdził lakonicznie lekarz, ucinając wszelkie dywagacje Lenarta na temat innej przyczyny zgonu. – Jeśli nie przestaniesz drażnić tej sprawy, grozi ci to samo!

Inspektor był innego zdania i po dłuższym namyśle postanowił złożyć wizytę Lenie Veri. Jak się później okazało, była to jedna z najważniejszych decyzji jakie podjął w swoim życiu. Rozmowa z Leną nic nowego do sprawy nie wniosła, poza nawiązaniem bliższych kontaktów. Po kilku tygodniach znajomości Lenart rozwiódł się z żoną i zamieszkał w domu Leny nad zatoką. Ślub był bardzo głośny i temat ten długo nie schodził z pierwszych stron gazet.

Lenart pod naciskiem szefa zrezygnował z pracy w policji, ale nie ze śledztwa w sprawie Antoniego Rosta.

Spacerując po plaży, kontemplując piękne zachody słońca często rozmyślał o drugiej, ciemnej stronie Leny. Tylko on wiedział, kto

odebrał pieniądze z polisy ubezpieczeniowej Rosta i na czyje konto wpłynęło 100 tysięcy dolarów od anonimowego darczyńcy. Tylko on. Popijając wino cieszył się, że nie ma polisy ubezpieczeniowej i żadnego artystycznego talentu.

Miał za to piękną i bogatą żonę i ... ogromną słabość do Bordo.

sierpień 2003

REFORMA

– Nasz jest 23 procent – zdziwił się Prezes.
– Kogo? – zapytała szaro – zielona Eminencja bo tak była akurat ubrana.

– Inteligencji rządzącej! – zatrwożył się prezes – Czy to dobrze, czy źle?

– Bardzo dobrze! – uspokoiła go Eminencja.

Prezes przeglądał statystyki z coraz większym zainteresowaniem.

– O cholera! – zaklął – 21 procent bezrobotnych!

Eminencja zatarła ręce.

– To bardzo dobrze!

– Co u licha jest dobrze? – zdziwił się Prezes.

Eminencja poczekał kilka minut, a gdy prezes wciąż myślał, wyjaśnił.

– Bardzo dobrze, bo nasz jest więcej.

Prezes nie zrozumiał, ale nie dał tego po sobie poznać.

– O dwa procent więcej – odparł rzeczowo.

– Za rok planujemy się podwoić, a tamtych zredukować – pochwalila się Eminencja.

– Tak trzymać! – ucieszył się Prezes – Utrzeć im nosa!

Eminencja ciężko westchnęła. Szef zagłębił się w statystykach.

– Rolników też jest 21 procent – ponownie zdziwił się Prezes – Duża siła.

– Ich też zredukujemy.

– Nikt nam teraz nie podskoczy! – ucieszył się Prezes.

Z błogim wyrazem twarzy liczył coś po cichutku na skrawku papieru.

– Nie zgadza się – mruknął zmartwiony – brakuję mi 35 %.

– Nie brakuje. Są na oddzielnym spisie.

- Co to za święte krowy?
- Ee tam takie, groch z kapustą. Dzieci, emeryci, renciści.
- Więcej ich od nasz. To mnie trochę niepokoi.
- Spokojna głowa.
- Zredukujemy? - domyślił się Prezes, a jego twarz zajaśniała niczym księżyc w pełni. Znów zaczął coś liczyć na kartce.
- Nie zgadza się, po redukcji bezrobotnych, rolników, grochu z kapustą i podwojeniu naszych zostanie 39 procent nie zrzeszonych - mruknął rozżalony.

Eminencja wzruszyła ramionami.

- A rezerwa? Musimy mieć przecież jakieś zaplecze produkcyjne - wyjaśnił.
- Wolałbym, żeby naszych potroić - zafrasował się Prezes - zawsze to bezpieczniej.

- Hm - mruknęła eminencja - a nie boi się pan recesji?

Prezes postanowił w najbliższych dniach zajrzeć do słownika wyrazów obcych i rozejrzeć się za nową eminencją, bardziej szarą.

- Niczego się nie boję! - wybuchnął nagle - Proszę nanieść do ustawy poprawki i przygotować do podpisu!

- Opozycja podniesie larum - ostrzegła Eminencja.

- A ile ich jest? - zapytał pogardliwie Prezes.

- Według najnowszych danych 97 procent.

Prezes rozplakał się.

- To z kim my zrobimy tą reformę?

- Tak jak zawsze z narodem - dumnie odpowiedziała Eminencja - bo najważniejsze są nadrzędne cele, dobro ogółu oraz idea jaka nam przyświeca.

Prezes otarł łzy i z wdzięcznością popatrzył na swojego doradcę.

- Tak jest, tak jest! - powiedział podnosząc się z fotela - Zrobimy to z narodem!

Podszedł do ogromnego weneckiego lustra i pokazał język siedzącej po drugiej stronie komisji lekarskiej.

– Trzeba ich wypuścić – orzekł naczelny psychiatra po długim namyśle – w końcu nic nie ryzykujemy.

– Są zdrowi – poparł go cienki jak patyk lekarz – w każdym bądź razie niczym się nie różnią od naszych ministrów.

– Są nawet bardziej pomysłowi.

– Tu pan, drogi kolego trochę przesadził.

wrzesień 2003

WHO IS WHO?

– Według Hollywood Obcy lądują wyłącznie na terenie Stanów Zjednoczonych – obwieściła Puciata Łączce.

Ten bardzo mądry wywód nie zdziwił, Łączki gdyż koleżanka prenumerowała tygodnik „Twoje Kino”.

– Związane jest to ze specyficzną strukturą rolną – mądryła się Puciata – a szczególnie z bardzo popularną w Ameryce uprawą kukurydzy. Lądują na tych polach tworząc niepowtarzalne kręgi co świadczy o ich wielkiej wrażliwości na sztukę.

– Niszczą farmerom uprawy – wtrąciła Łączka.

– Głupia jesteś – skwitowała Puciata i wyszła trzasnąwszy drzwiami, ale zaraz wróciła uświadomiwszy sobie, że nie ma gdzie pójść.

Puciata wierzyła w Hollywood między innym z racji prenumeraty tygodnika „Twoje Kino” i posiadania telewizora ale nie wierzyła w istnienie Obcych. Tak było do godziny 15.37 kiedy to usłyszała w radio skład nowego rządu.

– U nas przecież nie ma wielkich plantacji kukurydzy – łkała pakując swoje rzeczy gdyż emigracja zdawała się być jedynym sensownym rozwiązaniem.

– Widocznie lądują też w rzepaku – wyszeptała zdumiona Łączka.

Na przejściu granicznym z Białorusią działy się dantejskie sceny. W kilku tysięcznym tłumie dwa razy doszło do paniki i przyjaciółki ledwo uniknęły stratowania.

– Może wcale nie wylądowali – łudziła się Łączka – w końcu nikt ich nie widział.

– Podejrzewam kochanie, że oni tu byli przez cały czas – westchnęła Puciata – czekali tylko na odpowiedni moment

Puciata z Łączką zamieszkały w Mińsku na placu Łukaszenki. Puciata po kilku dniach straciła wiarę w Hollywood, a Łączka uwierzyła w istnienie Obcych.

„Gdzie są ptaki radosne? Gdzie jest nasz dom? Gdzie jest ta ojczyzna, co kochamy ją?” – szumiały wierzby płaczące nad zaśmieconym stawem.

Nikt im nie odpowiadał. Tylko wiatr hulał po pustych polach z jakąś dziką satysfakcją.

marzec 2004

SPOTKANIE III STOPNIA

Usłyszeli odgłos otwieranych drzwi i kroki w przedpokoju. Tatuś zgasił szybko papierosa i posadził chłopca na kolanach.

– Wtedy synku, czerwony kapturek upił do nieprzytomności gajowego i zamieszkał z wilkiem w ciemnym lesie – odezwał się głośno.

– Coś się nie zgadza tatusiu, czerwony kapturek nie lubił wilka – zauważył bystry malec. Tatuś już miał na ustach ciętą ripostę, gdy do pokoju wszedł przystojny brunet.

– Nazywam się Bąk – przedstawił się niegrzecznie – Józek Bąk i wystarczy! Jestem zły, nieuprzejmy a nawet chamski! Nie używam słów przepraszam czy dziękuję!

– To jak tatuś – wtrącił malec.

– Jestem twardy! – kontynuował gość – Bardzo twardy! Przyjaciół nie mam a moi wrogowie gryzą piach! Nazywam się Bąk, Józef Bąk! Mam cztery pary oczu i radar w spodniach! Nie boję się nikogo i niczego!

– Tatuś też! – znów wtrącił malec a po namyśle dodał – Oprócz mamusi.

– Za to lubię dobrze zjeść i wypić – perorował dalej przybysz – najchętniej w obskurnym, zatłoczonym barze w jakiejś zapadłej dziurze, gdzie zakazana morda przy mordzie żłopie wódę do upadłego. To moje środowisko naturalne, tam czuję się jak rekin w stawie!

– Zupełnie jak tata – zachwycił się chłopiec.

– Teraz wyjdę na zalaną słońcem ulicę, a wy cały czas trzymajcie łapki w górze, grzeczne misie, bo inaczej Szwarzenegger wyda wam się przy mnie małym pryszczem na pupie niemowlaka. Biorę tę jesionkę razem z wieszakiem oraz radyjko tranzystorowe i wychodzę! Następnym razem zerwę klepkę z podłogi!

- Kto to był tatusiu? – zapytał synek.
- Komornik – ocknął się ojciec – ale mnie zagadał!
- To radio nie działało – pocieszył się chłopiec – sprawdzałem.
- A jesionka była podarta na plecach – dodał ojciec – Odkładamy wszystko na półki, synku i idziemy do domu. Napisz kartkę właścicielom mieszkania, że był u nich komornik.
- Żeby nie było na nas? – domyślił się synek.
- Tak jest, w końcu jesteśmy uczciwymi złodziejami!

maj 2002

ŚWIADECTWO WIARY

Pomieszczenie było bardzo małe z jednym zakratowanym oknem wychodzącym na stary park. Na środku stał składany stolik turystyczny, a na nim butelka wody mineralnej, jabłko i napoczęta tabliczka czekolady.

Sakser wziął jedno z krzeseł, na których spał dwie ostatnie noce i usiadł przy stoliku. W budynku panowała absolutna cisza. Ułamał kawałek czekolady i włożył go do ust. Truskawkowe nadzienie rozpląnęło mu się na podniebieniu łagodząc ssanie w żołądku.

Zatrzymano go na pasażu centrum handlowego podczas kontroli dokumentów. Fałszywy alarm bombowy zgromadził w tym miejscu dziesiątki policjantów i służby specjalne. Kierujący akcją oficer zatrzymał kilka osób, w tym Saksa.

Siedział już drugą dobę w pomieszczeniu przypominającym raczej składzik gospodarczy niż celę, bez jednego przesłuchania, jedząc tylko jabłko z czekoladą.

Sakser zdrzemnął się z głową na stoliku. Obudził go grzmot pioruna. W tej samej chwili do pomieszczenia wszedł szpakowaty mężczyzna w towarzystwie atrakcyjnej kobiety. Mężczyzna postawił przed Saksem dzbanek z kawą i talerz z dużym kawałkiem ciasta. „Goście” w milczeniu usiedli przy składanym stoliku.

– Niezwykły mebel w takim miejscu – odezwał się po niemiecku Sakser wskazując stolik.

Kobieta uśmiechnęła się do niego. Mogła mieć najwyżej 50 lat.

– Jestem pana tłumaczką – odezwała się po polsku – Nazywam się Helena Sawicka.

Mężczyzna przyglądał się mu z uwagą.

– Po zatrzymaniu w Adler Zentrum zeznał pan, że przyjechał do Niemiec na zaproszenie braci Rainera i Thomasa Dietl? – zapytała tłumaczka.

Sakser bezradnym gestem rozłożył ręce.

– Ale jestem tutaj.

Mężczyzna nachylił się w stronę kobiety i szepnął jej coś do ucha.

– Gdzie ich poznałeś? – zapytała.

– Proszę o widzenie z ambasadorem – odparł uśmiechając się szeroko.

– Odpowiedz na pytanie.

– Nie prościej byłoby zapytać braci Dietl?

– To niemożliwe – kobieta znów uśmiechnęła się do niego – nie żyją od trzech miesięcy.

Zapadła cisza. Mężczyzna wskazał zapraszającym gestem dzbanek z kawą. Sakser napełnił kubek i sięgnął po ciasto.

„Runda pierwsza, pierwsze starcie” myślał pijąc gorącą kawę.

Spojrzał na tłumaczkę. Łagodny uśmiech nie schodził jej z twarzy. Na siłę przełknął kawałek ciasta. Mężczyzna poruszył się niecierpliwie.

– Znałeś tych ludzi wcześniej? – zapytał.

– Proszę o widzenie z ambasadorem.

– Wystarczy, że ja się z nim widziałem – odparł mężczyzna.

– I co? Kazał mnie pozdrowić?

– Kilka lat temu – odezwał się mężczyzna po chwili milczenia – otrzymałeś w Niemczech azyl polityczny.

Saks poczuł się nagle bardzo zmęczony.

– Działales w podziemnych strukturach „Solidarności” – ciągnął mężczyzna – w 89 roku wróciłeś do kraju i twój patriotyczny duch nagle osłabł. Znów zszedłeś do podziemia tylko w innym charakterze. Odsiedziałeś trzy lata za napad z bronią w ręku na jubilera. Trzy lata za napad to mały wyrok. Sędzia musiał wziąć pod uwagę twoje wcześniejsze zasługi. Ciekawe, czy tylko sędzia?

Kobieta tłumaczyła patrząc przez zakratowane okno na wyłaniający się z ciemności park.

- Kto cię tu przysłał? - zapytał mężczyzna wstając nagle od stołu - Kto?

– Przyjechałem do braci Dietl! – z uporem odpowiedział Saks – Nikt mnie tu nie przysyłał.

Mężczyzna zapalił papierosa. Kobieta ciężko oddychała. Burza oddalała się pomrukując złowrogo. Deszcz głośno bębnił o blaszany parapet. Tłumaczka podniosła się z krzesła.

- Zostawiam cię z panem prokuratorem – odezwała się do Saksa z przepraszającym uśmiechem i wyszła.

– I tak się dowiem kto cię przysłał! – warknął mężczyzna.

Odezwał się poprawną polszczyzną, ale to nie zdziwiło Saksa.

– Niby jak?

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni marynarki poślódką fotografię i podał ją Sakserowi.

– To są prawdziwi bracia Dietl.

Zdjęcie przedstawiało dwóch mężczyzn. Wyższy, ubrany w mundur porucznika Wehrmachtu, uśmiechał się do obiektywu, niższy patrzył ponuro w bok.

– Rainer, ten wyższy i starszy, był moim ojcem.

– Ciekawe kim byli ludzie, których spotkałem w Polsce?

– To ty nie wiesz?

– Nie wiem, kurwa i nie chcę wiedzieć – zawołał Sakser.

Prokurator schował fotografię i ciężko podniósł się z krzesła.

– Nisko upadłeś – rzucił oschle i wyszedł.

„Niech ci będzie, skurwysynu – myślał Sakser – ale nie możesz mnie trzymać bez końca w tej komórce.”

Złączył krzesła i położył się na nich. Marzył o gorącej kąpieli i wygodnym łóżku. Zamknął oczy próbując zasnąć. Było już widno, deszcz przestał padać. Parkowe drzewa szemrały cicho poruszane wiatrem.

Twarze tłumaczki i prokuratora przewijały mu się przed oczami niczym klatki niemego filmu aż zmorzył go sen. Thukł się w ciemnym pokoju szukając wyjścia, a kiedy trafił na drzwi znalazł się w pędzącym pociagu. Na końcu jaskrawo oświetlonego korytarza stał kolorowy klaun kiwając się w rytm skocznej melodii.

Tymczasem prokurator wpadł do gabinetu z furją zrzucając na podłogę wszystko co leżało na biurku.

Helena leżała na sofie z kompresem na głowie.

– Może on nie jest ważny – wyszeptała zbolalym głosem.

Mężczyzna ukląkł przy niej.

– To ostrzeżenie dla nas.

– Wypuść go – poprosiła szepcząc – może wtedy czegoś się dowiemy.

– To ostrzeżenie – powtórzył.

– Zaryzykujemy – przerwała mu – wypuść go! Jesteś bardzo blisko i komuś puściły nerwy.

Trzy godziny później Sakser był wolny. Nie zdziwił się, gdy na ulicy zobaczył Helenę. Siedziała w srebrnym Audi i machała w jego kierunku ręką jakby witała się ze starym znajomym. Podszedł i bez wahania wsiadł do jej samochodu.

– Dokąd jedziemy? – zapytał wprost.

– Zapraszam cię na śniadanie.

Jechali przez jakiś czas w milczeniu.

– Długo pani tu mieszka? – zapytał zerkając na jej kształtne kolana.

– 10 lat – zahamowała gwałtownie na światłach – Wysłałam tu za mąż – ruszyła z piskiem opon aż Saksera wbiło w siedzenie – Wczoraj poznałeś mojego męża.

– Prokurator, który mnie przesłuchiwał? – zapytał patrząc ze strachem na to, co kobieta wyczynia na drodze.

– Stefan Dietl – potwierdziła.

– Długo ma pani prawo jazdy? – nie wytrzymał, gdy ścięła łuk wymuszając pierwszeństwo.

Kobieta zwolniła.

– Nie zdziwiło cię, że przesłuchiwał cię syn Rainera Dietla.

– Nie – zgodził się oddychając z ulgą – Od dawna nic mnie nie dziwi.

– Po co tu przyjechałeś?

– To staje się już nudne.

– Widzisz przedstawienie, ale nie wiesz jak ma się ono do rzeczy – powiedziała z jakimś ogromnym smutkiem w głosie.

Byli już na przedmieściach Bonn. Podjechali pod stary, drewniany dom otoczony wysokim żywopłotem.

– To hotel braci Dietl – poinformowała go parkując przed samym wejściem.

– No pewnie – mruknął wychodząc z samochodu.

– Od 20 lat hotel jest nieczynny.

Dom w środku przypominał muzeum, jedynie schowana w kącie dużego holu recepcja przypominała o jego przeszłości. Meble i sprzęty pochodziły z początku wieku i były starannie zakonserwowane.

Weszli na piętro. Prosto ze schodów na lewo i prawo biegły korytarze prowadzące do pokoi. Kobieta otworzyła pierwsze z brzegu drzwi.

– Tu możesz się zdrzemnąć – powiedziała wchodząc przodem. Rozsunęła ciężkie bordowe zasłony i słońce wtargnęło do środka.

Wyposażenie pokoju było skromne; na środku stało duże stylowe łóżko z małymi komódkami po obu stronach a pod oknem biurko z biblioteczką wypełnioną książkami. Saks postawił torbę na podłodze i otworzył okno. Podmuch wiatru przyniósł zapach jaśminu z ogrodu. Intensywny aromat wypełnił wnętrze. Obejrzał się za siebie. Helena stała przed dużym, stylowym lustrem rozpinając bluzkę.

Oczy miała przymknięte. Językiem dotykała górnej wargi. Oddychała chrapliwie i szybko jakby brakowało jej powietrza.

Obudziło go silne pragnienie. Rzeczywistość docierała do niego powoli jak wspomnienie głębokiego snu.

Obok niego leżała naga Helena. Miał przed oczami jej nagłe uniesienie z jakim mu się oddała i znów oblała go gorąca fala pożądania. Kobieta instynktownie, nie otwierając oczu, jakby tkwiła jeszcze we śnie, przyjęła go. Odwrócił ją i posiadał z namiętą gwałtownością, w której więcej było gniewu niż czułości.

Dopiero późnym popołudniem zeszli na dół. Prawie nie odzywali się do siebie. Po obiedzie usiedli w ukrytym za recepcją gabinecie wytapetowanym wycinkami z gazet i starymi mapami. Sakser zauważył, że większość dotyczyła drugiej wojny światowej.

– To moje biuro – oznajmiła Helena włączając ekspres do kawy.

– Interesuje cię to? – zapytała podając mu filiżankę z kawą – Patrz, przecież po to przyjechałeś.

– „To człowiek człowiekowi najbardziej potrzebny jest do szczęścia” – przeczytał na głos motto wiszące nad drzwiami.

Przez krótką chwilę patrzyli na siebie jakby byli największymi wrogami.

– Nie jesteś taki zły – powiedziała patrząc mu prosto w oczy.

– A dzisiejszy ranek? – zapytał zmieszany.

– Był, czym był – powiedziała chłodno.

– A twój mąż? – brnął dalej – Razem to zaplanowaliście?

– Pracujemy razem i...

– i razem tropicie Bormana – dokończył.

– Jesteś głupi!

Czuła, że jego cynizm jest powierzchowny. Usiadła obok niego na skórzanej kanapie.

- Patrz - wskazała ręką ściany - Zapomniane zbrodnie, ofiary i ich oprawcy. Dla wielu to już tylko puste słowa. To było dawno i dość o tym. Teraz mamy Bośnie i ludzie znów będą szukać sprawiedliwości i zadośćuczynienia. Na nic nie mamy wpływu, ale nie musimy na wszystko się godzić. Ludzkość jest chora na zabijanie i nie ma na to lekarstwa. Jednak rozliczając każdy grzech zapobiegamy następnym.

Sakser milczał. Siła bijąca od Heleny była przytłaczająca.

- Po co mnie tu przywiozłaś? - zapytał usiłując przywołać obraz Heleny rozbierającej się przed lustrem.

Kobieta nagle dotknęła obiema dłońmi swoich piersi.

- Chcę pomóc Stefanowi - odezwała się zachrypniętym głosem.

Wstała i szybko podeszła do biurka jakby chciała uciec od niego.

- Czego on chce?

- Ludzi, którzy w 45 roku skazali jego ojca za zbrodnie wojenne i jego rehabilitacji.

- Skąd ta pewność, że jego tatuś był aniołkiem?

Helena doskoczyła do niego i z całej siły uderzyła w twarz.

- Skończ z tą cyniczną grą - powiedziała spokojnie jakby nic się nie stało - Stefan po jego śmierci otrzymał w spadku pamiątki. Możesz zameldować swoim szefom, że mogą na razie spać spokojnie. Niestety, nie ma w nich nazwisk.

- Wystarczy zajrzeć do archiwum.

- Nie wystarczy.

- Mogę dostać coś do picia - poprosił Saks rozcierając policzek.

Helena wyszła z gabinetu.

„Chcę wiedzieć kto uszył buty staremu Dietlowi” - myślał gapiąc się na wycinki z prasy dotyczące procesu Ukraińca mieszkającego w Niemczech. Dziadek miał prawie 90 lat.

Helena przyniosła butelkę koniaku.

- Trzy miesiące temu Rainer Dietl zginął wraz z bratem - kontynuowała rozlewając koniak do kieliszków.

- Dobrze ich znałaś?
- Byli na naszym ślubie. Widziałam ich wtedy po raz pierwszy i ostatni.
- Jak zginęli?
- W wypadku samochodowym.
- Tak po prostu?
- Dochodzenie nie wykluczyło udziału osób trzecich w wypadku. Saks wypił koniak jednym haustem.
- Tylko tyle?
- Tylko. Dziennie ginie na drogach dziesiątki osób. Co w tym dziwnego? Domysły można snuć różne, ale faktem jest, że zjechali ze swojego pasa pod ciężarowy samochód.
- Pracuję dla międzynarodowej firmy z siedzibą w Wiedniu – powiedział nagle Saks jakby chciał się usprawiedliwić – Miałem nawiązać kontakt z Rainerem Dietlem i przekazać pozdrowienia od przyjaciół z Wiednia. To wszystko. Nie pytaj mnie o nazwę firmy bo nie ma jej w rejestrach. To konglomerat różnych korporacji. Typowa hydra.
- Wiedzieli, że bracia już nie żyją, ale liczyli, że cię zatrzymamy, tylko po co? – pomyślała na głos.
- Jutro muszę być w Wiedniu.
- Helena podeszła do biurka i wyjęła z szuflady grubą papierową kopertę.
- Obejrzyj te zdjęcia – powiedziała wysypując dziesiątki fotografii na kanapę – tylko powoli i uważnie. Większość tych ludzi, jeśli jeszcze żyje, ma teraz dobrze po siedemdziesiątce.
- Co to za ludzie? – zainteresował się.
- Dobre pytanie. Polacy, Rosjanie, Niemcy podejrzani o zbrodnie na terenie Polski. Może kogoś rozpoznasz. Mam dziwne wrażenie, że twoi szefowie bardzo obawiają się wyników śledztwa Stefana.

– Jeśli masz rację – powiedział Sakser biorąc pierwszą z brzegu fotografię – to miej się na baczności.

– Jadę do Bonn na zakupy – rzuciła sucho – nie mamy nic do jedzenia.

– Teraz to ja zaczynam się bać – powiedział do siebie gdy wyszła.

Szybko przejrzał fotografie, a potem starannie drugi raz. Dokończył koniak i przeszukał biurko Heleny. Obok piersiówki ginu, między przyborami do pisania leżało jeszcze kilka zdjęć. Na jednym z nich w otoczeniu żołnierzy SS stał młody cywil ubrany w angielską skórzaną kurtkę lotniczą. Saks aż gwizdnął z wrażenia.

– Niewiele się dziadu zmieniłeś – mruknął pod nosem.

Rzucił fotografię na stół i sięgnął po telefon.

Helena po wyjściu z hotelu zrobiła zakupy i pojechała do Stefana. Czekał na nią w swoim mieszkaniu, w centrum Bonn.

Zastała go ślęczącego przy ogromnym dębowym biurku.

– Nie podchodź do mnie za blisko – zawołał do niej.

Zobaczyła w jego oczach gorączkę i zmęczenie.

– Jesteś znowu chory – zmartwiła się.

– Dostałem pocztę z Polski – podał jej dużą kopertę – od Borowca.

Adam Borowiec kilka lat temu współpracował z Heleną. Był historykiem i działał w Komisji do Badania Zbrodni Hitlerowskich. W połowie lat 70-tych relegowano go z uczelni, Komisji i Bóg wie czego jeszcze za nieprzejednane stanowisko w sprawie zbrodni katyńskiej.

– Od kiedy z nim korespondujesz? – zdziwiła się.

Stefan zniecierpliwiony wrzucił tylko ramionami. Był bardzo poruszony.

– Czytaj – poprosił.

Helena wyjęła z koperty dwa wycinki z polskiej gazety wydawanej w Anglii.

– Nie napisał do ciebie ani słowa?

– Nie musiał! – zawołał Stefan – Poprosiłem go o dossier prokuratora, który w 45 roku oskarżał mojego ojca.

– Janusza Kmińskiego – przerwała mu – Od 8 lat jest na emeryturze. Czytałeś akta ojca i sam przyznałeś, że to płotka wśród szczupaków. On nawet nie podpisywał tych wyroków.

– To wiedziałem z ich archiwum, czytaj!

W pierwszym artykule Borowiec pisał o prokuraturze wojskowym w stopniu majora noszącym rosyjskie nazwisko Iwicz i twierdził, że to Polak.

W 1944 roku wydał on wyroki skazujące na śmierć lub na wywózkę w głąb Związku Radzieckiego żołnierzy AK z okręgu lubelskiego w miejscowości Uroczysko Ulan. W 1992 roku nastąpiła ekshumacja zwłok ze zbiorowych mogił w Uroczysku i wszczęto śledztwo, które po niespełna dwóch miesiącach zamknęto.

Borowiec ubolewał nad tym faktem. Zarzucał manipulację przy dochodzeniu i upolitycznienie sprawy. Twierdził, że Iwicz pod zmienionym nazwiskiem do dzisiaj spokojnie żyje w Polsce pociągając za sznurki w sprawie Uroczyska i nazwał umorzenie śledztwa potwarzą dla uczciwych Polaków.

– Dlaczego Borowiec nie podaje obecnego nazwiska Iwicza? – zapytała Helena przerywając czytanie.

– Po prostu boi się. Śledztwo w sprawie zbrodni w Uroczysku Ulan nadzorował z ramienia ministerstwa Jacek Kmiński, syn Janusza. W drugim artykule Borowiec pisze, że młody Kmiński umarżając śledztwo działał pod naciskiem nie tyle ojca co stryja, przyrodniego brata Janusza, Karola Kmińskiego.

– To tylko przypuszczenie – zaoponowała Helena.

– Zgoda, ale pamiętaj, że ojca przeszukiwano w Uroczysku Ulan, a ten Iwicz wyskoczył jak diabeł z pudełka! W tym roku odtajniono część dokumentów i to nazwisko zaczęło pojawiać się przy każdej

sprawie. Iwicz to Karol Kmiński i to najprawdopodobniej on nadzorował sprawę mojego ojca. To chciał mi przekazać Borowiec.

Helena dotknęła jego czoła.

– Kładź się do łóżka – rozkazała – masz gorączkę.

– Pojadę do Polski – powiedział posłusznie wstając z krzesła – i spotkam się z młodym Kmińskim.

Stefan położył się ciężko oddychając.

– Co z Sakserem? – zapytał.

– Trudno powiedzieć – odparła z wahaniem – dałam mu fotografię do przejrzenia. To zwykły kurier.

– Źle zrobiłem wypuszczając go.

Helena nakryła go kocem.

– Muszę jechać – starała się by jej głos zabrzmiał pewnie – nie martw się.

Na ulicy wsiadając do samochodu zobaczyła kątem oka dwie biegnące w jej kierunku postacie. Na ucieczkę było już za późno. Złowrogie cienie dwóch mężczyzn zdawały się rosnać w mroku nocy. Ogarnął ją paniczny strach, który przemienił się w jednej sekundzie w szalony gniew. Postanowiła walczyć o życie.

W tym samym czasie Saks leżał kompletnie pijany w małym gabinecie ukrytym za recepcją. To go nie uratowało. Dwóch ludzi przeszukało cały hotel i w końcu znaleźli ukryte drzwi do gabinetu Heleny.

Mniejszy przyjechał do Monachium pociągiem. Wypił na dworcu kawę i zjadł rogalika. Podszedł do stoiska z prasą i kupił gazetę. Na pierwszej stronie „Suddeutsche Zeitung” widniało duże zdjęcie drewnianego domu z wypłowiałym szyldem na froncie „Hotel Dietl”.

„Co u licha?!” pomyślał zaskoczony. W tej samej chwili czyjaś dłoń uderzyła go mocno w plecy.

– Wie gehts, junge!? – wrzasnął mu do ucha wysoki brunet.
– Eugen! – zawołał Mniejszy.
Odwrócił się z trudem hamując wybuch złości.
– Serduszek słabe? – zapytał Eugen śmiejąc się rubasznie –
A może sumienie nieczyste?

Eugen Lappe alias Eugeniusz Łapa pochodził z Gdańska. Dzięki niemieckim korzeniom matki zmienił obywatelstwo i od pięciu lat mieszkał w Monachium. Mniejszy nigdy nie przepadał za jego towarzysztwem chociaż kilkakrotnie z nim współpracował. Teraz miał ochotę strzelić go w pysk by zetrzeć z niego cwaniacki uśmieszek.

– Co robisz w moim mieście, mein schatz? – zapytał Eugen.
Lubował się w mieszaniu polsko-niemieckich słów.
– Podkupuję twój transport z Polski – odparł spokojnie Mniejszy.
Czuł, że ich spotkanie na monachijskim dworcu nie jest przypadkowe.

Eugen tylko na chwilę stracił pewność siebie.
– To nie twoja działka – powiedział grożąc mu palcem – Za krótki jesteś.

Postawił kołnierz skórzanego płaszcza i naśladując ruchy filmowych szpiegów nerwowo rozejrzał się po sali.

– Błazen – mruknął Mniejszy.
– Chodź ze mną – Eugen objął go pojednawczym gestem – Podpiszę tylko odbiór spedycji i stawiam dużą wódkę. Pracuję dla Horna.

Mniejszego oblała fala ciepła. Słyszał, że Eugen sprowadzał z Polski różnego rodzaju towary dla Horna i jego spółek, ale nie przypuszczał, że pracuje u niego.

– Załatwiasz swój interes – powiedział – na mnie już czas.
– Nie pójdziemy na jednego? – szczerze zdziwił się Eugen.

Mniejszy pokręcił przecząco głową.
– Wielka szkoda – westchnął Eugen – Aha, mam dla ciebie i Kurta wiadomość.

– Od kogo?

– Od pana Horna – powiedział powoli Eugen.

– Taak?

– Idziecie z Kurtem na bezpłatny urlop i to od zaraz.

– A Saks, panie kadrowy?

Eugen roześmiał się.

– Urlopuje od wczoraj.

Mniejszy był zaskoczony. Ruszył w stronę wyjścia lawirując między podróżnymi śpieszącymi na perony.

– Do zobaczenia – rzucił za nim Eugen zatrzymując wzrok na młodej, zgrabnej dziewczynie.

– Mein name ist Cukier – zagadnął ją z lubieżnym uśmiechem.

Dziewczyna minęła go obojętnie i znikła w tłumie.

– Szkoda, że was ruskie nie najechali – złorzeczył pod nosem idąc w stronę wyjścia – Nawet kurwa nie wiecie ile wrażeń was ominęło.

Mniejszy gdy tylko wyszedł z dworca sięgnął po gazetę. Dziennikarz opisywał tajemnicze zniknięcie żony znanego w całym kraju prokuratora Dietla z Bonn. Według policji było to porwanie. Jednym z podejrzanych był Polak. Dotychczas policja nie ustaliła miejsca jego pobytu.

Mniejszy usiadł z wrażenia na murku okalającym klomb i zapalił papierosa.

„Ktoś wyszedł przed orkiestrę – myślał próbując zrozumieć co się stało – albo dyrygent zmienia grajków”. Wrzucił gazetę do kosza i podszedł do budki telefonicznej. Numer Kurta nie odpowiadał.

Saksa po wyniesieniu z hotelu Dietlów związano i wrzucono do bagażnika samochodu. Tuż przed egzekucją Eugen Lappe ocucił go wstrzykując mu heroinę.

– To po starej znajomości, przyjacielu – powiedział kneblując mu usta.

Mężczyzna, który mu pomagał wzruszył ramionami i mruknął, że to marnotrawstwo.

– Jesteś Niemiec i chuj ci do tego – warknął Eugen.

– Dołączysz do tej suki – mówił do Saksa – Walczyła jak lwica. W wyniku zagrożenia kiedy presja jest zbyt duża, każdy żywy organizm pragnie tylko jednego: przetrwać za wszelką cenę. Ona to wiedziała, ale z tobą poszło jak po maśle. Koniec kontraktu. Kurt i Mniejszy też wypadają z gry.

Saks już go nie słyszał. Odpływał kołysany przez łagodny nurt rzeki.

Dwoje małych dzieci bawiło się na plaży. Chłopczyk budował zamek z piasku, a dziewczynka nosiła w małym wiaderku wodę z morza do wypełnienia fosy. Była to syzyfowa praca, bo woda natychmiast wsiąkała w piasek i cały wysiłek dziewczynki szedł na marne.

– Dlaczego dookoła zamku musi być fosa? – zapytała zniechęcona.

Główny budowniczy był nieugięty i nie miał zamiaru zmieniać planów.

– Musisz szybciej nosić wodę – pouczył ją marszcząc brwi – wtedy fosa napelni się wodą.

Dziewczynka w pełnym biegu obróciła trzy razy i padła wyczerpana obok budowli.

– Kto będzie mieszkał w tym zamku? – zapytała przymilnie.

– Potwór! – burknął niegrzecznie chłopiec.

– W zamku powinna mieszkać piękna królewna – zaproponowała dziewczynka – nie będę nosiła wody dla potwora.

– Potwór wcale nie musi być straszny – odezwał się ugodowo chłopiec wygładzając łopatką mury zamku – ani brzydki, ani straszny.

Dziewczynka przez chwilę zastanawiała się nad słowami brata.

– Musi być straszny bo nie byłby potworem! – zawołała z triumfem.

Chłopiec wydał lekceważąco usta.

– Ale nie z wyglądu! Mój potwór jest inny.

– Rozumiem! Taka piękną bestia!

– No właśnie – mruknął – leć po wodę.

Dziewczynka chwyciła wiaderko, ale w tym momencie na plaży pojawił się ich ojciec. Dzieci złapały się za ręce i pobiegły w jego stronę. Mężczyzna z radością patrzył na nie i gdy dobiegły do niego mocno przytulił.

– Tatusiu – szczebiotała dziewczynka – a my mamy w zamku piękną bestię i ona jest lepsza od królowny.

Jacek Kmiński roześmiał się głośno usadzając córkę na ramionach.

– Jutro ci pokażemy – odezwał się chłopiec.

– Niestety – powiedział z żalem ojciec – wyjeżdżam.

– Mówiłeś, że za tydzień – odezwała się z wyrzutem dziewczynka.

Ojciec postawił ją na ziemi.

– Ścigamy się! – zawołał – Kto pierwszy dobiegnie do domu, ten dostanie największą porcję lodów.

Dzieci z krzykiem pobiegły do wyjścia z plaży.

Żona Jacka Kmińskiego, Edyta była rudowłosą interesującą trzydziestolatką. Ktoś powiedział, że jej uroda zmienia się w zależności od pory roku i światła, które na nią pada.

Jacek patrzył na nią jak układa dzieci do snu. Nachylając się nad synem odsłoniła krągłe udo. Próbował ją objąć, ale odtrąciła go i znikła w łazience.

Telegram, który otrzymał rano od ojca był zarzewiem ich kłótni.

– Zapewne znów sprawa Uroczyska Ulan – usprawiedliwiał się Jacek.

– Jesteś zdziwiony?

– To przez ten artykuł w prasie! – zdenerwował się nagle.

– Umorzyłeś śledztwo! – zachnęła się – Kilka tysięcy zamordowanych ludzi nie przemówiło ci do wyobraźni?

– To nie jest takie proste – bronił się próbując ją przytulić.

– Czy ty nie rozumiesz, że twoja praca traci sens – zawołała uwalniając się z jego objęć.

– Tej sprawy nie powinienem prowadzić!

– Nie, Jacku – stanęła przed nim wbijając mu palec w pierś – Właśnie ty! Pójdę spakować ci rzeczy.

Sprawa Uroczyska Ulan dotyczyła ojca i stryja bezpośrednio. Tak naprawdę nie przyjął tego do wiadomości. Dopiero artykuł w gazecie, który pokazała mu Edyta, zrodził wątpliwości.

– Kim byli naprawdę? – pytał siebie Jacek w drodze do ojca. – Budowniczymi nowego ładu czy ślepymi narzędziami w rękach Rosjan?

Ogrom tych zbrodni był porażający, a winnych nie było. Winny był system. Chociaż tu też stawiano przed nim znaki zapytania.

– Skąd wiesz jak za 50 lat spojrzysz na tę sprawę twój wnuk? – pytał go szef widząc jego wahanie – Może ciebie nazwie katem, a twojego ojca ofiarą? Musisz mieć do tej sprawy dystans.

Konsekwencją tego było umorzenie śledztwa.

– Sprawy zaszły za daleko – powiedział stary Kmiński.

Siedzieli na tarasie jego letniskowego domu pod Sztynortem. Stary obracał drżącą ręką papierosa, aż tytoń sypał się na stolik.

– Tego nie da się już powstrzymać!

– Musisz mi wszystko powiedzieć, tato – Jacek patrzył na jego bladą twarz i nie mógł się pozbyć myśli, że ma przed sobą obcego człowieka.

– Miejmy to wreszcie za sobą!

– Nigdy tak nie będzie – westchnął Kmiński.

Z sekundy na sekundę ojciec stawał się Jackowi coraz bardziej odrażający. Była w nim pokora ujarzmionego zwierzęcia.

– Muszę cofnąć się do 45 roku – zaczął z trudem jakby wstydząc się syna.

– Mów! – niemal krzyknął Jacek.

– Prowadziłem sprawę Reiner Dietla, oficera Wehrmachtu oskarżonego o pacyfikację dwóch wsi na Lubelszczyźnie. Osobiście go przesłuchiwałem. Dietl pokazał mi dokumenty, które całkowicie oczyszczały go z zarzutów. W tym czasie był oddelegowany do dyspozycji Czerwonego Krzyża do Katynia.

– Skazaliście go na śmierć? – zapytał drżącym głosem Jacek.

– Zniszczyłem te dokumenty na oczach Dietla, zanim Rosjanie wzięli go na przesłuchanie. Zrozumiał moje intencje.

– Rosjanie by go zgładzili. Uratowaliście mu życie.

Stary Kmiński gorzko się uśmiechnął.

– To był układ. Ratowaliśmy mu życie, żeby przeżyć. Uwierzył nam i milczał.

– Nie rozumiem – zdziwił się Jacek.

– Ja wtedy też nie rozumiałem.

Kmiński wrzucił rozgniecionego papierosa do popielniczki i napił się wody.

– Karol w 40 roku współpracował z Wehrmachtem na wschodzie Polski. Dietl rozpoznał go.

Jacek z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Nie mogę w to uwierzyć.

Kmiński podniósł się ciężko z fotela.

– Dietl został skazany na 7 lat. Chodźmy się przejść nad wodę.

Szli w milczeniu brzegiem jeziora zaśmieconą ścieżką między szuwarami.

– Teraz Dietla chce zrehabilitować jego syn. Jest prokuratorem w Bonn. Ma jeszcze mgliste pojęcie o całej sprawie, ale przestraszył kilka osób. Wczoraj porwano jego żonę.

– Reiner Dietl nie próbował wyjawić całej prawdy po powrocie do Niemiec?

– Nie, siedział cicho. Tydzień przed śmiercią chciał się ze mną spotkać. Napisał list, ale nie przyjechał. Zginął z bratem w wypadku samochodowym. Wiem, że szukał kontaktu z Hornem, swoim byłym podwładnym.

– Tato – Jacek przystanął łapiąc ojca za rękę – tu nie chodzi tylko o kolaborację stryja z Niemcami i rehabilitację Dietla. To coś więcej!

– Stefan Dietl zagrażając stryjowi zagraża mnie i tobie – odparł Kamiński.

– Dlatego to porwanie! – zawołał Jacek – Na litość boską, co masz z tym wspólnego?

– Nic – wyszeptał Kmiński – bezpośrednio nic, jedynie Uroczysko Ulan, a te sprawy się łączą.

A jednak – pomyślał z żalem Jacek – ty żałosny starcze.

– Mam ogromną ochotę podpalić ten bar – powiedział Kurt do Mniejszego.

Siedział w przydrożnym barze kilka kilometrów pod Wrocławiem.

– Zamówiłem pół godziny temu żurek z białą kielbasą – skarżył się – a ta mietła z obsługi dostała kamfory. Spóźniłeś się dwie godziny.

Mniejszy usiadł przy stoliku zapalając papierosa.

– Spóźniłeś się – powtórzył Kurt.

– Samochód, który mi sprzedałeś to kupa złomu.

– Jak wszystko dookoła.

Kelnerka przyniosła żurek z rachunkiem.

– Co z Saksem?

– Pływa w Renie – warknął Kurt – Nie tak miało być.

Mniejszy patrzył na zarośniętą twarz Kurta. Znali się od dziecka. Saks był najlepszy z nich ale nie do takiej roboty.

- Wymawiamy pracę – zdecydował Kurt.
- Horn już nas urlopował.
- Użyli go jako przynęty i pozbyli się jak śmiecia – zdenerwował się Kurt.
- Zapolują na nas, jak nie Niemcy to nasi.
- Nie wiadomo.
- Chcesz pomścić Saksa? – zapytał Mniejszy.
- A ty nie?
- Mniejszy w pierwszej chwili uznał to za szaleństwo. Chociaż...
- Zanocujemy we Wrocławiu i najpierw się upijemy, zgoda?
- Kurt roześmiał się.
- Mamy czas? – zaniepokoił się Mniejszy.
- Nie, ale upić się zawsze warto!

Po zameldowaniu się w hotelu Kurt wziął dziewczynę, potem drugą i trzecią. Z usług żadnej z nich nie skorzystał ale zapłacił każdej.

- Nie spełniały określonych kryteriów – wyjaśnił Mniejszemu.
- Tobie potrzebny jest psycholog albo dobry wpierdol, a nie dziewczyna – odparł Mniejszy rozlewając do szklanek wódkę.
- Drewno, malachit i bursztyn – powtórzył głośno Kurt – Z takich materiałów ten śmieć, dla którego pracujemy ma meble w domu.
- My dla niego nie pracujemy – zaprzeczył Mniejszy – My się mu sprzedajemy i to za niezłą kasę, Kurt!
- Zgoda.
- No i jest jakieś logiczne usprawiedliwienie.
- Wiesz co mnie najbardziej wkurwia? – mówił Kurt – Ta ich bezwstydną dynastyczność, to pompowanie zepsutej krwi w swoje potomstwo. Zmieniają się czasy, ustroje, klimat, a oni jak wrzód z pokolenia na pokolenie plenią się jak robactwo.

Pili już drugą butelkę i Kurt coraz bardziej się zapalał.

– Prątkują na całe otoczenie, że żadna dezynsekcja nie pomoże, chyba tylko ogień do samych korzeni i jeszcze dwa metry w dół!

Mniejszy rozumiał, że w przyjacielu wypełniła się czara goryczy, ale on sam pragnął jedynie pić wódkę i zabić w sobie zdolność myślenia.

– Wytlukę ich jak pluskwy!

„Marzy ci się następna rewolucja – myślał Mniejszy pogrążając się we śnie – a to przecież zwykły biznes.”

Kurt i Mniejszy spali do południa. Kiedy zwlekli się z łóżek w pierwszej chwili mieli ochotę zamówić wódkę i pić dalej.

– Nie będziemy klinować – stwierdził po dłuższym wahaniu Kurt – łykamy magnez, jemy obiad i wyjeżdżamy!

Mniejszemu zakręciło się w głowie, usiadł przy stole i pociągnął prosto z butelki. Pomogło.

– Co robimy?

Kurt rzucił na stół zdjęcie.

– To ten w środku – powiedział.

Mniejszy rzucił tylko okiem.

– Czy ta żona prokuratora żyje? – zapytał.

– Nie wiem, zbieraj się, ale jeśli skasowali Saksa to ją pewnie też.

– Co zamierzasz?

– Zbieraj się – powtórzył Kurt – powiem ci po drodze.

Mniejszy miał wrażenie, że przyjacielowi zaczęło się nagle spieszyć jakby chciał nadgonić stracony czas.

– Jedziemy, jedziemy – pogañał Kurt pakując swoje rzeczy.

Mniejszy wylał resztę wódki do umywalki, sprzątnął ze stołu, przyjrzał się jeszcze raz mężczyźnie z fotografii i spojrzał pytająco na Kurta. Ten skinął tylko głową i podał mu zapalniczkę.

– Braciszek starego – wyjaśnił Kurt – I tak żaden sąd w tym kraju nic mu nie zrobi.

Rozwiązanie ostateczne – pomyślał Mniejszy – tak chyba się wtedy mówiło.

Kiedy zdjęcie dopalało się byli już gotowi do drogi.

– Żeby tylko nie była to jazda bez trzymanki – powiedział Mniejszy zamykając hotelowy pokój.

Kurt już rozluźniony roześmiał się.

– Tego nie mogę ci obiecać!

– Jasne!

Pod Sztynortem Mniejszemu zepsuł się samochód. Zepchnęli go na pobocze prawie pod sam las i zdjęli tablice rejestracyjne. Dalej, już pod sam dom Janusza Kmińskiego jechali razem. Starego sędziego nie było w domu. Długo go jednak nie szukali. Łowił ryby na starym pomoście ukrytym wśród szuwarów kilkanaście metrów od domu. Nie uciekał i nie błagał o życie. Jakby czekał na nich pogodzony ze śmiercią dużo wcześniej. Stary sędzia zginął bez słowa skargi.

– Co z synalkiem? – zapytał Mniejszy.

Jechali krętą szosą przez las na zachód.

– Zobaczymy.

Mniejszy odetchnął z ulgą.

– Brat numer 1?

– Jeszcze nie teraz.

– Jednak to jazda bez trzymanki.

– Chcę coś sprawdzić.

Granicę z Niemcami przekroczyli w nocy. Kurt przez całą drogę nie odezwał się słowem, dopiero gdy stanęli pod holenderskim domem położonym w środku małego lasu coś w nim pękło.

– Tu mogą trzymać żonę Dietla – wskazał głową budowlę.

Mniejszy milczał. Wysiedli z samochodu.

– Pilnuje jej najwyżej jeden człowiek – informował Kurt.

Mniejszy rozumiał teraz tok myślenia Kurta. Jeśli kobieta żyła znaczyłoby to, że Horn i Kmiński chcą się układać z Dietlem i przechwycenie jej było ich przepustką do raju.

Holenderski dom był pusty.

– Teraz możesz szukać po tych krzakach świeżych mogił i dobrze rozglądaj się dookoła, żeby ktoś ci nie przyjebał w pusty łeb – warknął Mniejszy – Straciliśmy masę czasu.

Stali na ganku z odbezpieczonymi pistoletami. Z myśliwych stawali się zwierzyną.

– Jak stukniemy Brata numer 1 zrobi się jaśniej – odezwał się Kurt.

– I będzie więcej tlenu dla nas – zgodził się Mniejszy – Hornowi może to być na rękę.

– Na to nie licz.

ROK 1940

Oddział porucznika Rainera Dietla stacjonował we wsi Serpele położonej na wschód od Lublina. Bieda i nędza jaką żołnierza zastali w gospodarstwach sprawiły, że ich agresja z pól bitewnych zanikła. Dzieci początkowo nieufne wobec najeźdźców, po kilku dniach swobodnie kręciły się wokół żołnierzy.

Matka nie piec chleba – to były pierwsze polskie słowa, których nauczył się Dietl. Chłop, u którego kwaterował był jednym z bogatszych we wsi, ale i on miał niewiele dobytku w rozlatującej się oborze.

Wieś położona była na skraju lasów ciągnących się aż do granicy z Rosją. Dietl zdawał sobie sprawę, że wieśniacy mają na karku partyzantów i żywią ich niekoniecznie z własnej woli. To był powód

zakwaterowania go w tej dziurze, ale nie jedyny. Przed zajęciem wschodnich miast i wycofaniu się Rosjan część Żydów, którzy nie zabrali się z Armią Czerwoną kryła się po wsiach i lasach.

Pułkownik Stoll stojąc na zgłiszczach dopalającej się synagogi w Witożu rozkazał swoim żołnierzom przeszukać żydowskie kamienice stojące w rynku. Żołnierze przez kilka dni kuli ściany i wysadzali je granatami w poszukiwaniu złota. Miejscowi kręcili tylko głowami i pokazywali na wschód.

Stoll rozlokował kilka oddziałów po okolicznych wsiach, a sam rozłożył się w Witożu niczym wilk czekający na zbłąkane owce.

Dietl dostał szczegółowe rozkazy. W środku wsi stała do połowy spalona żydowska karczma. Nazwiska sprawców tego podpalenia dostał porucznik w rozkazie i miał ich odtransportować do Witoża. Rozkazał spędzić żołnierzom całą wieś na podwórze Demiuka, chłopa u którego kwaterował. Tłumacz, łysy jak kolano Lothar przeczytał trzy nazwiska. Chłopi wsiedli na ciężarówkę i odjechali do Witoża.

Wieczorem Dietl wezwał Demiuka i pokazał mu listę, którą otrzymał od Stolla. Chłop od razu pojął w czym rzecz, jego nazwisko widniało na pierwszym miejscu. Zaprowadził Dietla do małego sosnowego zagajnika za wsią. Towarzyszył im tylko Lothar. W środku zagajnika na małej polance wskazał im świeżo usypaną mogiłę.

– Tu leży cała żydowska rodzina ze spalonej karczmy – tłumaczył Lothar.

Demiuk opowiedział o niemieckim oddziale, który w 39 roku w listopadową noc wkroczył do wsi. Jak Żydzi z karczmy wiele godzin umierali w męczarniach dopóki nie oddali całego złota. Lothar zawahał się i przerwał tłumaczenie.

– To była bardzo bogata rodzina – kontynuował – Potem kazano im podpalić karczmę, jemu i trzem sąsiadom, których wczoraj arestowaliśmy. Splądrowali wcześniej karczmę, ale ugasiłi pożar i pochowali zabitych.

Dietl słyszał o specjalnych oddziałach SS, których motto brzmiało: „szybko schwycić – zabijać powoli”. Pułkownik Stoll, stary pruski junkier miał na liście świadków listopadowej masakry. Co taki arystokrata ma z tą zbrodnią wspólnego?

Następnego dnia do wsi przyjechał adiutant Stolla, porucznik Letz w towarzystwie młodego cywila. Reiner znał go jeszcze ze szkoły oficerskiej i zaprosił do swojej kwatery na obiad. Cywil został w samochodzie.

– Stary się wściekł – informował Letz – nie przekazałeś czwartego bandyty. Wie, że jest we wsi.

– Już nie, uciekł tej nocy do lasu.

– Co to ma znaczyć, Reiner?

– Stoll sądzi ich za mord na Żydach?

– Już osądził, zostali powieszeni rano.

Dietl wezwał Lothara i rozkazał powtórzyć relację Demiuka.

– Weg! – wrzasnął adiutant na dzieci, które w ferworze zabawy wpadły do izby.

– Nie bądź głupcem, Dietl! – powiedział patrząc mu prosto w oczy – W każdym razie ja nic nie wiem. Jutro z samego rana masz stawić się w Witożu. Stary będzie przydzielał mięso armatnie.

Po odjeździe Letza Dietl kazał Lotharowi napisać notatkę służbową z rozmowy z Demiukiem, pod którą obaj się podpisali.

– Co przemilczałeś podczas tłumaczenia.

Tłumacz nie był zaskoczony pytaniem.

– Oddział SS przyprowadził Polak. Pomimo ciemności Demiuk go poznał. Przyjeżdżał tu przed wojną na wakacje i mieszkał u niego.

– Dlaczego to zataiłeś?

– Żle pana oceniłem.

– O co chodzi z tym Polakiem?

– To przewodnik pułkownika Stolla po żydowskich gminach. Widział go pan dzisiaj. Przyjechał razem z Letzem. Znam go dobrze

i jego zasługi. To niebezpieczny człowiek. Nazywa się Kine, ale na pewno nie jest to jego prawdziwe nazwisko. Jeśli pokaże pan tę notatkę w sztabie w Witożu wymordują całą wieś.

– Tak cię obchodzi los tych ludzi? – zapytał Dietl drąc notatkę na strzępy.

– Tak, panie poruczniku – odparł Lothar – nie mniej niż pana.

Porucznik Rainer Dietl zameldował się u pułkownika Stolla punktualnie o 7.00. Wszedł do jego kwatery w towarzystwie jeszcze dwóch oficerów, którzy przyjechali do Witoża prosto z Niemiec. Pułkownik siedział w towarzystwie Kine. „Przewodnik Stolla po żydowskich gminach” – przypomniał sobie słowa Lothara.

Przewodnik miał teraz na sobie mundur szeregowego żołnierza Wehrmachtu.

Pułkownik wstał na ich widok.

– Czekałem na panów – odezwał się do całej trójki – i dobrze się stało, że przyjechaliście o jednym czasie. Bardzo dobrze! Siadajcie panowie.

Nie czekał aż zajmą miejsca.

– Źle się stało, panie poruczniku – zwrócił się do Dietla – że ten bandyta uciekł. Żeby nie doszło do podobnym sytuacji – pułkownik był w dobrym humorze – przydzielam panu pod komendę dwóch oficerów – zajrzał do papierów – Horna i Stenhausu.

Oficerowie stanęli na baczność. Przewodnik przez cały czas siedział z boku przeglądając mapy i nie zwracał uwagi na ich obecność. Dietl przyglądał się mu z zainteresowaniem. Było w nim coś szczególnego. Chłopak starał się być niewidoczny, schodził z linii oczu, a zarazem przyciągał wzrok. Tak było, kiedy przyjechał z Letzem do wsi. Dietl zapamiętał jego twarz, choć widział go zaledwie przez chwilę.

– Dodatkowo przydzielam panu nowego tłumacza – mówił Stoll – Panie Kine!

Młodzieniec oderwał się od map i podszedł podając rękę Dietlowi. Nie odezwał się ani słowem, po czym wrócił na swoje miejsce całkowicie ignorując młodych oficerów.

– Pan Kine – kontynuował porucznik – będzie panom bardzo pomocny. Doskonale zna okolice. Jutro przeszukacie... jakie wsie?

– Kozły i Rusle – odezwał się znad map tłumacz.

Dietl po raz pierwszy usłyszał jego głos.

– To według naszych informacji miejsca, w których bandyci mają największe oparcie. Zamieszkałą w tych miejscowościach ludność pochodzenia żydowskiego należy natychmiast odsyłać do Witoża. Pan Kine będzie bezpośrednio – zawahał się jakby szukając odpowiedniego słowa – moim łącznikiem. To wszystko.

W Kozłach zabito dwóch partyzantów. Tak brzmiał oficjalny raport. Dietl wysłał tam Horna. Młody oficer wszedł do wsi nocą i urządził mieszkańcom piekło. Dwóch wyrostków wyrwanych ze snu zaczęło uciekać przez płoty w stronę lasu.

Jeden z żołnierzy pociągnął za nimi serią z automatu raniąc się przy tym w stopę. Horn przekonany, że jego żołnierza postrzelili partyzanci rozkazał podpalić dwie stodoły w samym środku wsi. Ogień momentalnie przeszedł na pozostałe zabudowania. Do rana ze wsi pozostały zgłiszcza.

Do Rusli wraz z podporucznikiem Stenhausem Dietl wysłał Kine. Nie mógł opanować w sobie niechęci do tłumacza i pragnął uwolnić się od jego towarzystwa już pierwszego dnia, chociaż Kine prawie się nie odzywał. Rainer miał wrażenie, że i jemu jest to na rękę. Z Rusli pułkownik Stoll dostał same dobre wiadomości. Zatrzymano trzy żydowskie rodziny ukrywające się w stodole młynarza. Stenhaus zgodnie z rozkazami odesłał Żydów do jego kwatery. Kine napisał notatkę, w której pułkownik czytał, że zatrzymane w Ruslach rodziny to mieszkańcy Witoża.

W Kozłach Dietl nie znalazł niczego, oprócz nędzy, chorób i garstki wystraszonych chłopów, którzy przeżyli masakrę Horna. We wsi panował dur brzuszny. Po kilku dniach połowa jego żołnierzy dostała wysokiej gorączki i biegunki. Choroba nie ominęła też Dietla. Stoll wysłał ich do szpitala przekazując dowództwo nad oddziałem Hornowi.

* * *

– Niektórzy sądzą, że po 89 roku mogą pisać wszystko – powiedział Karol Kmiński rzucając gazetę na podłogę – jak się podpisał ten szczur?

Jacek podniósł gazetę.

– Tylko inicjały G.B.

Kmiński uśmiechnął się kwaśno.

– Borowiec, nazywa się Borowiec.

Jacek przyjechał do stryja, do jego domu pod Warszawą prosto z Mazur.

– Co u ojca?

Jacek patrzył na ogorzałą twarz stryja i podziwiał jego kondycję. Mimo 80 lat trzymał się wyjątkowo dobrze.

– Martwi się.

– Jak zwykle – głos wuja zadudnił w salonie – a ty co? Przyjechałeś mnie przesłuchać?

– Porozmawiać.

– Co wiesz?

– Niewiele.

Karol Kmiński zrzucił szlafrok.

– Idę popływać – powiedział wychodząc z salonu – tobie radzę to samo.

„Jakbyś się utopił – pomyślał Jacek – rozwiązałoby to wiele problemów. Co jest warte takiego życia?”

Nie chciał do tej pory wierzyć i nie dopuszczał do siebie faktów, które aż nadto obciążały ojca i stryja. Niewiele trzeba by stać się głuchym i ślepym. Wystarczyło iść jak baran w stadzie za przewodnikiem. Konformizm. Komu potrzebna jest prawda jaka by nie była? Kto chce ją poznać? Dietl? Dziennikarz piszący pod pseudonimem w zagranicznej gazecie? On sam, bo tak trzeba?

– Wiesz dlaczego Rainer Dietl dożył późnej starości? – zapytał Karol Kmiński.

Siedzieli w jego gabinecie pijąc koniak. Był już późny wieczór. Jacek chciał zaraz po obiedzie wyjechać, ale stryj poprosił go, żeby został na noc.

– Nie – odparł Jacek starając się opanować emocje. W zaciemnionym pokoju ledwie widział twarz stryja.

– Dzięki tobie? – Jacek nie mógł powstrzymać się od sarkazmu.

– Niemcy wbrew pozorom są sentymentalni. Chronił go Stoll, jego dowódca z czasów wojny, oczywiście za cenę milczenia.

– Znałeś Stolla, prawda?

– Służyłem mu jak pies.

W gabinecie zapadła cisza jak po armatnim wystrzale.

– Na litość boską!!

– Służyłem Niemcom, a później Rosjanom.

– Kim ty jesteś? – wyszeptał Jacek.

Mimo tego, co usłyszał i szoku w jakim się znajdował, ku swojemu zaskoczeniu poczuł ulgę.

– Stoll wywiózł do Niemiec cały majątek – kontynuował spokojnie Kmiński – szczególnie dzięki mnie. Złoto, biżuteria, antyki. Nie zdążył jednak wywieźć wszystkiego.

– Resztą łupów wojennych zaopiekowałeś się zapewne ty. Czy mój ojciec...

– Wiedział o wszystkim.

– Mówił mi o zaginięciu żony Stefana Dietla.

– Porwał ją Horn, podkomendny Dietla z czasów wojny. Stary Dietl był niegroźny, ale jego syn na tym stanowisku ze swoimi możliwościami stał się dla niego niebezpieczny razem z tą swoją mścielką.

– Dla ciebie też.

– Dla mnie, dla twojego ojca i dla ciebie. To jest jak lawina, może pogrzebać nas wszystkich.

– Celowo ubabrałeś mnie gównem pociągając za sznurki tak, żebym otrzymał sprawę Uroczyska Ulan!

Kmiński poderwał się z fotela.

– Myślisz, że twój ojciec robił to z własnej woli?! Takich miejsc jak Uroczysko jest na tej ziemi setki i na wielu z nich rosną lasy, stoją domy i biegają drogi. Nikt nawet nie wie o ich istnieniu. Powstają nowe, a będzie ich jeszcze więcej!

Jacek nalał sobie pełną lampkę koniaku i wypił jednym haustem.

– Współpracujesz z Hornem? – zapytał uspokojony wypitym trunkiem.

– Jedź do żony i dzieci – odparł Kmiński – i dokończ urlop. Jesteśmy rodziną, uszanuj to.

Jacek roześmiał się gorzko.

– Zrobiłeś ze mnie współnika! Wtajemniczyłeś mnie, a teraz obdarzasz zaufaniem. Jak je stracisz, to co będzie? Zginę w wypadku samochodowym czy zadławię się ością jedząc naleśniki?

Kmiński bez słowa wyszedł z gabinetu.

– Nie licz na to, że będziesz wodził mnie na pasku – krzyknął za nim Jacek – jutro, z samego rana składam w Ministerstwie rezygnację.

– Złożysz ją jeszcze dzisiaj – usłyszał za plecami groźny szept.

Na tarasie w półmroku stały dwie postacie. Bezszelestnie jak duchy przeniknęły do środka. Jacek nie zdążył nawet obejrzeć się do tyłu. Upadł na podłogę powalony rękojęścią pistoletu.

– Szukaj starego – szepnął Kurt.

Całe zdarzenie trwało nie dłużej niż minutę. Mniejszy dopadł starego w kuchni. Strzelił dwa razy celując w głowę. Kmiński upadł martwy na posadzkę.

– Co z tym zafajdany prokuratorkiem?

Kurt zastanawiał się przez chwilę.

– Nic nam do niego.

– Nie będzie mu teraz łatwo – zgodził się Mniejszy – Chociaż tacy jak on zawsze wypływają na powierzchnię.

Kurt wyszedł na taras i głęboko zaczerpnął powietrza.

– Mają to w genach – powiedział przypalając papierosa.

– A my? – zapytał cicho Mniejszy.

– Daliśmy świadectwo wiary – odparł Kurt – Tak by powiedział Saks.

Mniejszy wziął od przyjaciela papierosa.

– Co my, Kurt, mamy w genach?

KONIEC

Krzymoszyce, listopad 2002



XIII B
Sok



Leszek Sokołowski urodził
około 2 w nocy w Warszawie.
wykształcenie, pracował w rō
i pozbył się złudzeń do otaczającej go rzeczy-
wistości. W wieku męskim osiadł w Krzymoszy-
cach k/Międzyrzecza Podlaskiego i prowadzi
gospodarstwo agroturystyczne chwając sobie
uroki wiejskiego życia.

Tu zaczął traktować pisanie „na poważnie”
i z powodzeniem wysyłać swoje teksty do druku
w czasopismach regionalnych i ogólnopolskich

W 2001 roku zdobył III nagrodę w Ogólnopolskim Turnieju Łgarzy
w Bogatyni organizowanym m.in. przez „TVP” i radiową „Trójkę”,
a w 2002 r. został laureatem I nagrody zdobywając tytuł Króla Łgarzy.
Wygrał również w 2003 r. konkurs poetycki w Klubie Kultury „Eureka”
w Białej Podlaskiej, co zaowocowało wydaniem tomiku poezji
pt. „Dumny jak paw”.